

Cena numeru  
pojedynczego

30

groszy.

Prenumerata krajowa  
kwartalnie 1'80 zł  
półrocznie 3'60 zł  
rocznie 6'— zł

Prenumerata zagran.  
kwartalnie 40  
pólr. 80 centów am.

Konto P. K. O.:  
Kraków Nr 406.000  
Warszawa Nr 153.210

# GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Adres redakcji  
i administracji:

Kraków  
ul. Zyblikiewicza  
L. 5/7, m. 55.

Godziny urzędowe  
codziennie od 1—3

Oddz. w Warszawie:  
ul. Sienna 23, m. 5.  
Telefon 46-98.

Oddział we Lwowie:  
Księgarnia Literacka  
ulica Batorego 24.

Nr 11-12

Warszawa — Kraków — Lwów — 15 lipca 1926 r.

Rok I.

## MGLISTY PRZYBYSZ

Wystarczy rzucić badawczym okiem na współczesną twórczość literacką, aby dostrzec owe przedziwne, ultrafioletowe promienie tajemnicy, załamujące się w jej pryzmacie.

Ciekawe to zjawisko jest poprostu nieublaganym, a zdawna upragnionym nawrotem metafizyki. Wtargnięcie jej na teren literatury poprzedził krzewiący się bujnie mistycyzm powojenny, napróżno poszukujący rozwiązania odwiecznych zagadek w popisach choreograficznych wirujących stolików i w produkcjach fałszowanych fakirów jasnowidzenia i hipnozy. Mglisty przybysz stukający do wrót ludzkości tem niepokojącym powitaniem, któremu na imię: lęk metafizyczny, przebrnął wkrótce przez targowiska szarlatanerii i ogłupiania tłumów i nachylił się nad tymi, którym oddano klucz do dusz ludzkich: Słowo. Jeden zagadkowy gest wystarczył, aby ich pouczyć, że zadaniem ich jest nie zacieśniać, ale rozszerzać.

I oto coraz częściej poprzez borykanie się z formą, poprzez tokowania lirycznych głuszców, opętanych sobą — przebłykiwać poczyna jakiś głęboki Sens, jakaś powaga poezji wielkiej, która wycofując się z przed kalejdoskopu poruszających się cząsteczek, ogarnia całość spojrzeniem z patosu perspektywy.

Twórczość przestała być pyłkiem, a rozrosła się w potężną skałę, która rzucona w wodę rozfalowuje jej powierzchnię mnóstwem szerokich kręgów. Zasięg tych kręgów codzien się rozszerza. Od egoizmu, od mikrokosmów wybujałego indywidualizmu, doszło się już (poprzez tęsknotę człowieka do człowieka) do poczucia wspólności z gromadą. Zbiorowa solidarność pracy przy huczącym warsztacie współczesności rozprzestrzenia pojęcie gromady na całą ludzkość, każąc twórcom myśleć kategoriami obywateli planety. Ale to jeszcze za mało.

Przychodzi tedy poczucie metafizyczne i poczyna nam uświadamiać przynależność do całości w nieco dostojniejszym tego słowa znaczeniu. Jest to przynależność do systemu słonecznego, obywatelstwo Drogi Mlecznej, synostwo otchłani, z której się wyszło i do której się kiedyś nieuchronnie powróci.

Nie jest to nic innego, jak tylko wyjście poza zbiorowy, komiczny światopogląd rojowska bakycyli, które obsiadły jeden zastępowy żużel, zawieszony w przestrzeni — światopogląd mrówki, dla której wszystko się kończy w pobliżu mrowiska, lub nędzarza, dla którego wszechświatem są jego łachmany i łyżka wyżebranej zupy. Wyjście poza sielski ogródek z liryczności, w jakim szukają ukojenia różni załawieni poeci, poza jałową akrobatykę futurystów, poza „maszynową poezję”, zasklepiającą się w świecie mechanizmów skonstruowanych przez człowieka i wreszcie poza żonglowanie formą, identyczne z zapoznawaniem treści.

Forma nie istnieje sama dla siebie. Przenikanie się formy i treści, ich harmonijne dopełnianie jest już dziś dogmatem.

Ale nie chodzi tu przecież o treść fabularną, jeno o bezustanne docieranie do olbrzymiej, podgłębnej treści, zanurzonej po pas w tajemnicy.

Toteż jeżeli mówimy o współpracy ze współczesnością, o zbliżeniu literatury do życia, to nie po to, abyśmy się mieli w wirówkach tego życia zaprzepaścić i pomieścić bez reszty.

## ROZMOWA Z MARJĄ PAWLIKOWSKĄ I Z MAGDALENĄ SAMOZWANIEC

W zacisznym, w atmosferze letniego zmierzchu tonącym salonie, gdzie po cieniastych zakątach ginęły stereotypowe pytania wywiadowcze. W miłym uroku literackiego nastroju snuła się rozmowa z dwiema wybitnymi przedstawicielkami dwu odmiennych typów literackich. Z pamiętnika duszy wyrastały wspomnienia jedynych w swoim rodzaju, przepięknych poezji Marji Pawlikowskiej i wystrzelały nagle, jak rakiety, wspomnienia świetnych utworów Magdaleny Samozwaniec.

— Dlaczego pani nie chce powiedzieć mi czegośkolwiek o sobie? — zwróciłem się do autorki „Różowej magji”.

— Naprawdę, że czuję się skrepowana — odrzekła Marja Pawlikowska. — Wywiad! To słowo mnie przeraża! Nienawidzę mówić o sobie!

— Mnie zupełnie nie przeraża — zaśmiała się autorka „Na ustach grzechu”. — Powiem panu wszystko — o co się pan zapyta i o co się pan nie zapyta.

Właśnie specjalnie interesuje mnie to drugie — odrzekłem. — Lecz chciałbym sprostować nieprawdziwe pojęcie o grozie wywiadu. Nazwijmy go rozmową — a już zniknie pierwiastek powagi i napuszoneści.

A więc w ten sposób politykując, udało mi się wydstać od autorki „Niebieskich migdałów” parę szczegółów jej działalności, tak już silnie zaznaczonej w literaturze naszej. Dowiedziałem się, że początkowo Marja Pawlikowska szła według tradycji rodzinnych po drodze malarstwa. Dopiero parę lat temu zaczęła pisać wiersze.

Nie po to, aby się rozproszkować i rozdrabniać w literackiej analizie otaczających nas zjawisk zbiorowego bytu. Bo „treścią drzewa jest szum, mieszkający w jego gałęziach, a wygrywany wiatrami, wiejącymi z niewiadomej przestrzeni, i — kto wie? — ocierającymi się może o stopy Boga!” („Gazeta Literacka” Nr 6). Tak. To jest treść właściwa tego wspaniale rozgałęzionego drzewa epoki nam współczesnej, miotanego ustawicznymi wichrami, i tę treść poeci, jako organizatorzy duszy zbiorowej, powinni rozumieć i odczuwać. A nie zrozumięją jej i nie odczują nigdy, jeżeli nie będą patrzeć na chaos zjawisk i na potok zdarzeń przez soczewkę syntezy. Każda synteza ociera się o zagadkę, a gdzie stajemy w obliczu nieprzeniknionych zagadek, tam jest z pewnością wszechświat i nieskończoność — i Bóg.

Dlatego to tytu poetów i tytu filozofów zapowiada nam dzisiaj zwrot ludzkości ku czarnej zasłonie lzydy. Dlatego to idzie ku nam nieuchronna fala religijnego mistycyzmu, tego nowego średniowiecza, o tyle różnego od swego poprzednika, o ile ludzkość postąpiła od tego czasu naprzód w skonstruowaniu aparatury wiedzy nowoczesnej. Ta bowiem wyolbrzymiła nam wszechświat i rozszerzyła otchłanie, a temsamem pogłębiła tajemnicę. Nie będzie to więc mistycyzm naiwnego dziecka, jeno dojrzałego człowieka.

Kto śledził bacznie twórczość ostatnich dziesięciolecia, przypomni sobie bez trudu, że u poetów ten zwrot ku metafizyce rozpoczął się nie od rzetelnego wpatwienia się w tajemnicę, lecz od czegoś nieokreślonego a nieuświadomionego, co kazało futurystycznym pajacom powtarzać słowo: Bóg w każdym nicomal wierszu. Ale dziś słowo to przestało być pustym dźwiękiem. Oczy i uszy twórców musiały przejść jakąś wyculającą przemianę, bo dzieła ich coraz częściej świadczą o tem, że oczy ich widzą poprzez ścianę, a uszy słyszą nawoływanie z bardzo dalekiej przestrzeni.

Zwiastuje nam to może zmierzch planetarnego szowinizmu i odkrycie prawdy, że nasza odwieczna nostalgia zwraca nas ku ojczyźnie największej i najpiękniejszej ze wszystkich — ku Drodze Mlecznej.

— I wie pan, co mnie skłoniło do tego?

— To, co skłania ludzi do wielu rozmaitych rzeczy — zaśmiała się znowu Samozwaniec XX wieku — niech pan sobie wyobrazi: pierwsza miłość! Gdzieś na jakimś balu poznała jakiegoś młodzieńca, piszącego wiersze. On naturalnie zapytał się zaraz: czy pani tworzy poezje, ona skłamała, że tak, prosba o przyniesienie tych poezji — i w ten sposób napisała, pod przymusem okoliczności łagodzących, pierwsze wiersze!

— Która zresztą już były mniej więcej takie, jak te, które piszę obecnie. Pierwsza



Marja Pawlikowska

książka moja „Niebieskie migdały” ukazała się równocześnie z pierwszą książką mojej siostry „Na ustach grzechu” i z pierwszą książką mojej kuzynki, Zofji Szezuckiej, „Pożoga”.

— Wstępny bojem zawojuowały wtedy panie krytykę i publiczność.

— Potem — „Różowa magja”, która spotkała się również z przychylnym bardzo przyjęciem, a obecnie „Poculunki”. Tę ostatnią moją książkę lubię najwięcej. Odpowiada mi bardzo krótka forma wierszy. Dlatego najukochańszym moim poetą jest Omar Khayam. Bardzo bliskimi są mi rumuńscy poeci, Vacaresco i de Noailles, nie mówiąc już o Tuwimie i innych Skamandrytach, których podziwiam i cenię.

— A pani twórczość dramatyczna? „Szofer Archibald”?

— To moja pierwsza i wcale nie ostatnia sztuka. — Wystawiana w Teatrze Małym w Warszawie doczekała się dwudziestokilkupięciu przedstawień. Potem napisałam ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem „Ostatnią godzinę Heleny Pfiffer”, którą wystawi Teatr Mały. Wogóle chcę poświęcić się wyłącznie scenie. Wiersze — może to za mały horyzont. A zresztą teatr tak ciągnie. Gdy się raz coś napisało dla sceny, musi się wciąż wracać do tego miejsca zbrodni...

Gdy zwróciłem się do mojej drugiej ofiary, z właściwą sobie skromnością spłonęła uroczym rumieńcem i wstydliwie spuściła oczy.

— Po takim mimicznym wstępie — rzekłem — przypuszczam, co Pani uczyni ze statecznego mego wywiadu. Proszę mnie tylko nie brać na tortury. Lękam się Pani, jak Staśko...

— Nic panu złego nie zrobię — odpowiedziała Magdalena Samozwaniec — gdyż przebywam teraz myślą w niewinnie pogodnych latach mego dzieciństwa. Jestem nastrojona łagodnie i kojąco. Przypominam sobie właśnie, jak to od ośmioletniego dziewczęcia marzyłam o napisaniu książki nie dla dzieci, którejby mama nie pozwoliła mi przeczytać... Z uporem manjaka posyłałam potem różne niewydarzone utwory do rozmaitych „Wsi i miast” i naturalnie nikt mi nie nigdy nie przyjął do druku. Miałam zawsze małego bżaka —

— ?!

— — na punkcie dowcipów i wogóle robienia różnych kawałów i, marząc o tem, żeby się rodzina śmiała, powtarzałam przy stole dowcipy brata. Uczylam się w domu w ten sposób, że nauczycielka moja siedziała przy stole, a ja leżałam pod łóżkiem, które było tak niskie, że nie można było z pod niego wyciągnąć! Z jedną z nauczycielek miałam taki system, że cobądź mówiłam płynnie, z tupetem i bez zająknięcia,

a ona chodziła z książką po pokoju i była święcie przekonana, że umiem lekcję wspinać. System ten podobno jest praktykowany przy doktoratach. W roku 1912 zadebiutowałam pod nikłym pseudonimem w brukowych „Nowościach Ilustrowanych” krakowskich, dzięki poparciu jednej nauczycielki. Była to nowelka.

— Zapewne tytuł jej był piorunujący?

— Przeciwnie, był sielski i cichy: „Wyjazd mamy do miasta”. A potem — potem zaczęłam pisać pamiętniki, które okazały się tak niesłychanie podobne do wytworów słynnych grafomanów polskich —

— Już przed Panią unieśmiertelnionych... — że przyszła mi do głowy myśl kontynuowania tego rodzaju pisania, tylko z zacięciem parodystycznym. Tak więc w parodji mego własnego stylu leży historyczny początek mej twórczości — „Na ustach grzechu”. Pisałam tę książkę przez dwa lata — a potem przez rok, jak piłkę tenisową, odrzucali ją rozmaici wydawcy.

— Bali się widocznie tego, z czem nie spotkali się dotychczas w literaturze polskiej — wtrąciłem.

— Więc wydałam nakładem własnym. Nie przypuszczałam nawet — jak i moja rodzina — że spotkam się z takim powodzeniem. Najpiękniejszą chwilą w mem życiu była chwila, gdy czytałam recenzję prof. Sinka, tak ogromnie pochlebną, w której mnie porównuje do don Kichota...

— Zapewne w swem życiu miała Pani jeszcze dużo takich najpiękniejszych chwil... — O tak! drugą najpiękniejszą chwilą w mem życiu była chwila, gdy na premjerze „Malowanej żony”, która taką zrobiła kasę, że dyr. Szyfman do dziś ją z rozczuleniem wspomina, słyszałam grzmot śmiechu na widowni.

Tu moja interlokutorka posmutniała nagle.

— Czuję, że wymawiam „grzmot” nie ortograficznie, przez „z” z kropką... Ortografaj, to moja słaba strona, co łatwo można zauważyć w mej ostatniej książce, gdzie „smażyć” napisałam przez „rz”, pocieszam się jednak, że wśród wszystkich mych znanych tylko jedna Marja Pawlikowska nie robi błędów ortograficznych, chyba życiowe,

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

Nr 11-12 Gazety Literackiej

zawiera:

Mglisty przybysz — artykuł wstępny.

Rozmowa z Marją Pawlikowską i z Magdaleną Samozwaniec — Witold Zechenter.

Japonja, jej kult i kultura — Kazimierz Rogala Kosciński.

Tam, gdzie poezja dojrzewa — Witold Zechenter.

George Sand (w 50-lecie śmierci) — Helena Kwiecińska.

Rola sytuacji w kinie — Karol Estreicher.

Wywiad z Henrykiem Béraud — Artur Prędski.

List z Warszawy — Wiesław Gorecki.

Odrącony (nowela) — Jerzy Braun.

Wiersze i przekłady — Marjana Sewiego i Józefa Klemensiewicza.

Poza tem działy aktualne i informacyjne, bogaty dział krytyczny, kronika literacka i teatralna i t. d.

## † WŁADYSŁAW MICKIEWICZ

Tuż po ukazaniu się ostatniego naszego numeru doszła nas z Paryża wiadomość o śmierci nestora polskich literatów, Władysława Mickiewicza. Sędziwy starzec zyskał sobie przywiązanie i część całego polskiego społeczeństwa przez swą ożywiającą działalność na różnych polach życia narodowego. Przez wiele lat był jakgdyby nieoficjalnym przedstawicielem Polski na forum Europy, przez wiele ciężkich i trudnych lat dopomagał polskim emigrantom, politycznym wychodźcom czy artystom, żyjącym w trudnych warunkach we Francji.

Nietylko pomocą dla rodaków — żyjących w nadsekwanijskiej stolicy, zaskarbił sobie wdzięczność społeczeństwa. Może ważniejszą jeszcze była jego praca publicystyczna oraz ten niezmierny trud, jaki zadał sobie w szerzeniu i w umocnieniu kultu ojca.

Stykając się bezpośrednio z całą naszą emigracją, konspirując z lewicą polską, w czem wierny był zapatrywaniom ojca, mógł pod koniec życia wydać niezmiernie ciekawe pamiętniki, stanowiące dla historyka tych lat bezcenny materiał.

Po powstaniu 63-go roku Władysław Mickiewicz udaje się przez Turcję i południową Rosję do Polski, na Wołyń i Litwę. Po wydaleniu jednak przez rząd rosyjski wraca do Paryża, gdzie poświęca się zbieraniu i publikowaniu pamiętek i dzieł ojca. Pisze Jego czterotomowy żywot, wydaje krytycznie szereg Jego pism oraz tworzy t. zw. archiwum mickiewickowskie w Paryżu.

Wybitnego polskiego obywatela uczcili przed paru laty nasze uniwersytety, nadając Mu kilka honorowych godności.

Stratę Jego odczuwamy tem boleśniej, że jest już ostatnim z pokolenia tych, którzy żyli wśród legendy emigracji i łączyli te czasy z troskami dnia dzisiejszego.

mnie „Trędowata”, z którą przeżyłam wiele prawdziwie pięknych chwil i którą spotykam wszędzie, w każdym domu, nawet na wsi na wakacjach. Jest to książka, która prawdziwie „zblądziła pod strzechy”... Obecnie najniższą moją literaturą jest czerwona, jedyna w Krakowie, świetna reklama żarówek „Philips”... Ale, mówiąc poważnie — z humorystów bardzo cenię Makuszyńskiego i Słonimskiego, z zagranicznych zaś niedościgniętymi ideałami są dla mnie humorysty, prawie w Polsce nieznanymi: Cami i Claude Vautel.

— A poeci?

— Co do poezji polskiej, jestem przekonana, że stoi najwyżej obecnie w całej Europie. Ani Francja, ani Włochy, ani Rosja, ani Niemcy nie mają tylu i takich poetów, jak Polska.

— O tak, zgadzam się w tem w zupełności z tobą — rzekła Marja Pawlikowska. To jedno powiedziałaś nie głupio.

— Czy mogę jeszcze zapytać się o przyszłość?

— Raczej, niż dokładnie o teraźniejszość, która mnie szalenie nudzi. Pragnę usilnie znaleźć bogatego wydawcę dla mojej najlepszej z dotychczasowych książek, która nosi tytuł „Mężowie i mężczyźni”. Obiecuję sobie po tej książce ogromne powodzenie u wydawców i u męczyzn. I koniec chyba? — Koniec...

Gdy z miłą willi Kossakowskiej wracałem późnym wieczorem do domu, towarzyszyło mi przy świetle gwiazd (bo latarnie już pogaszone), wspomnienie dwu uroczych, tak bardzo utalentowanych młodych auterek. I było mi przykro, że nie, oprócz mej „Rozmowy”, dać im nie mogę.

Witold Zechenter.

TAM, GDZIE POEZJA DOJRZEWIA...

Rozmowa o najnowszych tomikach Juliana Tuwima, Ireny Tuwim, Antoniego Ślonimskiego, Mieczysława Brauna, Marji Pawlikowskiej i Kazimierza Źłakowicz.

— Kilka dni temu — rzekł, gdy rozmowa zesłała — a właściwie wyszła — na temat poezji — dostalem szesć nowych tomików wierszy poetów warszawskich. Przeczytałem je kolejno, naprzód — chłonać — jak zawsze, gdy czytam poezję, a potem — z wolna i na chłodno, że się tak wyrażę krytycznie. I doznałem ogólnie miłego wrażenia, gdy spostrzegłem, że to, co odczułem, z tem, co przeczytałem, zgadza się prawie w zupełności. Wrażenie takie odnosi się bardzo rzadko.

Rozmowa toczyła się u doktora X. Dookoła ścian steryliści z książkami. Nastroj był ogromnie nieprzyjemny, przeplatany czasem emocjami, jaka mi towarzyszy stała, gdy piszę recenzje z książek, a specjalnie z poezji.

— No i co pan sądzi o tych rzeczach? — spytała mnie p. Y. — Z tych ostatnich wydawnictw czytałem tylko książkę Tuwima i muszę przyznać, że zupełnie nie przypada mi do gustu.

— Tuwim nigdy, proszę pani, nie przypada do gustu. Do gustu przypaść może Konopnicka, naprzykład. Poezja dzisiejsza, szczególnie w najwyższych swych przejawach, nie umie przypadać. Do niej trzeba przypisać... »Słowa we krwi« (Juliana Tuwima) — według mnie — są najlepszym zbiorem poezji od kilku lat i bezwzględnie są najlepszym tomem Tuwima. To, co było najsiłniejszym, najbardziej tuwimowskiem w »Czyhaniu« i w »Sokratesie«, co było najbardziej lirycznym — współcześnie w »Siódmej jesieni«, co nie załamało się w »Czwartym tomie« — to wszystko pulsuje silnie i najwyraźniej w »Słowach«. Oblicze poetyckie Tuwima tu poraz pierwszy ukazało mi się tak wyraźnie, że rozpoznałem dokładnie wszystkie jego składniki.

Jego głębia treściowa nie waha się w »Słowach« nad zbyt mglistymi i przepaścistymi alegoriami, nie zatapia się, a raczej nie roztopia, w eksperymencie werbalistycznym. Forma wiersza opracowana na poważny poziom tej formy.

— Poważny polot...? — Tak, tylko przy Tuwimie można użyć tego dziwnie nieologicznie brzmiącego określenia. A wrzeszcz tu zasadnicza już nuta, silnie przyrzona w cyklu wspaniałym tomu: słowo. Po przeczytaniu Tuwima zaczyna się słowo nie tylko już kochać, lecz — szanować. To zrozumienie wartości słowa dla poezji i dla — poety, zrozumienie, którego się współcześnie nigdzie w takim stopniu nie spotyka, stanowi w »Słowach« zasadniczy punkt oparcia twórczego. Dla krytyki zarazem jest jedynym punktem wyjścia. Poetę, który tak odczuwa i rozumie słowo, odczuwa się i rozumie jako poetę konieczności. »Słowa we krwi« są konieczne. Niema tam niepoetyckości, rymu dla rymu, frazesu, werbalistyki. Tuwim musiał napisać »Słowa we krwi« i musiał je napisać tak, jak je napisał. A więc — praca!

— Tej pracy, do której określenia u Tuwima pan doszedł w swoim wydźwięku — rzekł dr X. — nie znalazłem u Ireny Tuwim, której tomik przypadkiem dziś czytałem.

— Zgadzać się z tem — i ja też w »Listach«<sup>2)</sup> nie znalazłem pracy. Irena Tuwim, jeśli rozumie słowo, rozumie je jako zabawkę, zabawkę żywą, którą można pieścić, a raczej, z którą się można pieścić. Tam, gdzie w jej wierszach przejawia się zwartość treściowa i jakieś podłoże nie zabawkowe, tam poetka jest zupełnie nieoryginalna. Oryginalną jest tam, gdzie siląc się — zresztą może jej to przychodzi łatwo — na oryginalność, wpada na dalekie manowce werbalizmu i gwałtem chwytta za czuprynę wymokłe widmo symbolizmu. Symbolizm jest dobry w poezji, gdy jest uzasadniony potrzebą. Irena Tuwim napisała »Listy« niepotrzebnie, tak, jak się pisze niepotrzebnie listy do znajomych, do kolegów, które można napisać, gdy się ma pod ręką papier listowy, lecz które są zupełnie niekonieczne i bez nich może wytrzymać i autor ich i adresat.

— Któż ze Skamandrytów wydał jeszcze nowy tom? — spytał adwokat Y.

— Święty tom wydał Antoni Ślonimski<sup>3)</sup> — rzekłem. — Aż denerwującym jest niekiedy jego

Pawlikowskiej i Kazimierza Źłakowicz. zewnętrzną spokoj i klasyczny. Sonet naprzykład, który aż rozsadza buntem, treść gorąca, jak lawa! Treść ta, jak ogień, wylewa się czasem nieskrępowana, czasem wrze niepokoju w gładkich formach klasycznych.

— Są to wiersze podróżnicze — wtrąciła p. Y. — Tak sądzę z tytułu — »Z dalekiej podróży«.

— O tak, proszę pani, są to wiersze podróżnicze — lecz z dalszej podróży, niż pani może się domyślić. Dalszej, niż podróz do Egiptu, do Brazylii... Do Brazylii może pojechać każdy — kwestiją pieniędzy lub sprytu — tam, zaś, skąd powrócił Ślonimski, dojeżdże nie każdy... Przechybiał w piękno słowa, porównania, zwroty, przez potoczność, twarde rytmy, błysk formy tych wierszy, przeświecający dalekich, bardzo dalekich latarni morskich, przebiegają huk i szumy dalekich mórz i dalekich łądów. Obawiam się, że pani nie znajdzie mórz tych i tych łądów na żadnej mapie.

— Może już zaświeci? — jest ciemno — rzekł po chwili gospodarz.

— Prosimy! — Dobrze. — Teraz przy świetle dopiero widzę, — rzekłem do p. Y. — że pani ma minę obrażoną. Bardzo mi przykro, lecz przyzna mi pani rację po przeczytaniu tej książki, jeśli pani nie będzie jej tak czytać, jak czytała pani »Słowa we krwi«.

— Ale gniewam się, i basta, gniewam się na pana. Złościwość, to pańskie najmlsze rzemiosło. — Chciała pani powiedzieć — to pański najmlszy zawód? — No tak, zawód.

— Pani pomylką słowna przywiodła mi na myśl »Rzemiosła« Mieczysława Brauna.<sup>4)</sup> To bardzo dobry tom. I bardzo dużo w nim pracy. W psychologii szewca, krawca, stolarza, piekarsza i t. d., tematów treściowych wierszy M. Brauna, odnajdujemy rzemiosło samego poety. Jest to pierwszorzędnym rzemiosłem.

— Obrazili się na pana, gdyby się dowiedział, że pan go tak określił. Poeta — rzemieślnik!

— Nie obrazili się, proszę pani, jestem pewny. Forma jego poezji wskazuje na czelatorską robotę. Robotę pewnej ręki i silnej. A zaznaczona treść pokazuje nam poete. Przemysłancę przez siebie tematy oparł w złoto nielamlive, jak pierwszorzędnego złotnika. A tematy to wielkie i bardzo żywotne. Niejednokrotnie poezja M. Brauna porusza czytelnika. Wiersze takie, jak »Polska« lub — z innej zupełnie kategorii — »Warszawa«, to rzeczy wspaniałe. Jest w »Rzemiosłach« dużo wpływów, nie zawsze z godnego źródła. Lecz widać wielki, krzepki talent i nieleniwy poryw pracy. Debutowym swym tomem wszedł Mieczysław Braun w pierwszy szereg współczesnych poetów.

— Mówi pan tak, jakby pan pisał recenzję do »Gazety Literackiej« — wtrąciła uszczypliwie p. Y.

— Niestety, czasem trzeba użyć oklepanego terminu. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy, że M. Braun wszedł istotnie w pierwszy szereg. — A czy to prawda, że pan poznał Pawlikowską i Samozwaniec i zrobił pan z nimi wywiad? Mówił mi o tem Stepowski.

— Prawda. Wywiad ukaza się w 11—12 numerze »Gazety Literackiej«. Marja Pawlikowska wydała również nowy zbiór poezji »Pocąłunki«<sup>5)</sup>. Są to istotnie pocąłunki, złożone przez prawdziwą poezję na czole świetnej poetki — że użyję tak romantycznie wybujałego zwrotu. Tomik zawiera kilkadziesiąt jednozwrotkowych wierszy. Iłez tam piękna, iłez refleksyj, zawartych w trudnej, ograniczonej do czterech linijek, formie. Iłez uroku bezpośredniości. Są to czyste perły. Czyta się je to drobne wierszki i czyta — i ciągle mało. Wciąż wraca się do nich. Można je pokochać i nie można ich zapamiętać. Umie ich kilka naścać na pamięć, tak często umię do nich powracalem.

— Proszę nam powiedzieć kilka tych utworów — rzekł p. Z.

— Prosimy bardzo! — Z chęcią. Oto wierszyk »Huragan«:

LIST Z WARSZAWY

»NIEBOSKA KOMEDIA«

Wystawienie »Nieboskiej Komedi«, to wspaniale odparowanie ciosu, jaki wymierzył w stronę teatru im. Bogusławskiego magistrat warszawski, planując zamknięcie tej najbardziej zasłużonej placówki teatralnej w stolicy. Inscenizacja i reżyserja dyr. Schillera, to jeden triumf. Inscenizacja, a raczej teatralizuje Schillera nie tylko jako »Nieboskiej«, lecz i cztery parabazy, a to w sposób następujący: wstęp do pierwszej części wkłada w usta hr. Henryka, drugą i czwartą część poprzedza głosiłami niewieściami, a trzecią — tu punkt kulminacyjny. Schiller bierze jeden wyraz: »chleba« i wydobyla z zgłodniałego tłumu wspaniały, potem głosna zawodzenie i krzyk, nareszcie rozarty wrzask i ryk. To nie grecki chór, opowiadający o rzeczach minionych, lub wrzający przyszłe wypadki z odpowiednim patosem. Naga, potworna prawda, ultra-naturalizm mieszcza się w jednym słowie.

A kiedy głos boleści, rozpacz i wściekłości przemieni się w głos triumfu, zda się snuć przed oczyma wiekową historję nędzy ludzkiej, wydobyla, dzięki reżyserji, jednym słowem w przebiegu jednej minuty.

Tak cudownie wniknąć w intencję poety portrafit jeden tylko Schiller.

Lecz nie tylko uchwycił właściwy ton w parabazie do trzeciej części. Chóry przechrztów, lożki, rezników, chłopów, ujęte w niesamowity rytm, to świetna interpretacja genialnych skrótów Krasiniego. To już nie inscenizacja, czy teatralizacja. To życie. Chyba każdy ze słuchaczy zapomina wówczas o przestrzeni, dzielącej go od sceny.

Taniec wolnych ludzi, oszalały w swej płatańcinie jest prawdziwie i wstrząsający.

Wrażenie, odniesione po trzeciej części, każe nam zapominać o pewnych niedomaganiach w części czwartej, mało zresztą widocznych. Jedynie może zakłócenie, w którym Schiller odstępuje od wskazówki poety, każe Pankracemu umierać nie na baszcie, lecz u jej podnoża, razi cokolwiek.

Dekoracje i efekty świetlne prof. Drabika, to również triumf, wylatujący się twórczym porywem z ciasnych ram dotychczasowości.

Adwokatów dał znakomitą kreację hr. Henryka, szczególnie świetnie wydobyla liryczne akcenty. W roli zony Solnska przypominała najwyższe wzloty swego talentu. Postać Orcia utworzył z prawdziwym zrozumieniem młody, rojącący wielkie nadzieje Zawistowski. Trafnie ujął Pankracego Strachocki, w epizodach świetny Żelwerowicz (lekarz), Życzkowska (dziewczyna), Solarski (Leonard). Należy podkreślić koniecznie niebywałą karność i inteligencję chóru.

Wiesław Gorecki.

»Niebo się gniewa, obłoki nadbiegają w tłum! Szczęśliwe drzewa! Będą się mogły wysumieć!«

Albo wiersz »Burza«: »Przeżyjemy dziś burzę, drzew! ja i ty. Lecz ja szepcę słowa najcichsze, a ty wyciszaj się w wiechcie, jak zielone liwy...«

— Ależ to przesłizne wiersze! — Albo »Miłość«: »Nie widziałam cię już od miesiąca. I nic. Jestem może błędsza, trochę śpiąca, trochę bardziej miłująca, lecz widać można żyć bez powietrza!«

Ten tomik bez porównania więcej cennie, niż nowy tomik Źłakowiczowy »Obrazy imion wróżebne«<sup>6)</sup>. Forma doskonała — lecz nie lepsza, niż w tomie »Polów«. A treściowe walory poprzedniego jej tomu nie znajdują w »Obrazach« żadnego porównawczego oparcia. Interesującym jest kabalistyczne zacięcie tych wierszy. Lecz oparte na indywidualności, traci. To, co autorce nasuwa na myśl imię »Józef« lub »Teresa«, mnie może nasunąć Telesfor lub Hermenegilda. Ostatnim tomik autorki »Polow« jest tylko eksperymentem. Dostyć udalym.

— Ależ to już dziesiąta! — Jak to czas leci przy rozmowie o literaturze!

— Tak, — rzekłem przy pożegnaniu — czas ten szybko leci, lecz nie przelatuje bez śladu.

Witold Zechenter.

6) I. K. Źłakowicz: »Obrazy imion wróżebne«. Warszawa. 1926. F. Hoiesick. Str. 85.

KAZIMIERZ-ROGAŁA KOSIŃSKI

JAPONJA — JEJ KULT I KULTURA

Kraj wschodzącego słońca, kraina chrzątanemów, wiśn, azalii, irysów... Legenda i poezja opłoty kraj ten w naszym wyobraźni. Ale Japonia jest dzisiaj bardzo realną potęgą gospodarczą, którą realnie oceniać należy. Przed wojną rosyjsko-japońska Europa mało zajmowała się tym krajem, a Polska niewiele do wiedziała o jakichś tam Japończykach, karłowatych o żółto-oliwkowej cerze i skończył oczach, którzy się jednak oddawna interesują Europą, jej ustrojem, życiem intelektualnym, kulturą, cywilizacją. Japonia daleko więcej interesuje się nami, niż my krajem wschodzącego słońca, zajmującym 523 wyspy na Oceanie Spokojnym.

Dopiero po klęsce Rosji, będącej dla wielu niebywałą i nieoczekiwaną niespodzianką, zaczęto się naprawdę interesować dalekim Wschodem wogóle, a w szczególności Japonją. Odtąd upewniono się, że Japonia coraz bardziej wysuwa się na pierwszy plan życia politycznego, gospodarczego, kulturalno-cywilizacyjnego, a przedewszystkiem intelektualnego.

Ewolucja Japonji rozpoczęła się rewolucją t. z. europeizacji w r. 1868, idąc wiać naprzód wstąpiła w niezwykłym tempie, wskutek czego przyspuścić należy, że w niedalekiej przyszłości wyprzedzi pod każdym względem Europę, jeżeli już nie wyprzedziła! Zaczynać jednak należy, że jeżeli ten wyższości Japonji nie chcemy przyznać — to jedynie tylko dlatego właśnie, że jesteśmy Europejczykami.

Kult Japonji oparty jest na zasadach buddyzmu i shintoizmu, który uczy, że zmarli są bóstwem, duchami zwanymi »kami« z nadprzyrodzoną siłą. »Służyć zmarłym — znaczy to samo, co służyć żyjącym«. »Świecić rocznicę śmierci zmarłych — to dla Japończyków objaw wielkiego poczucia miłości i czci dla ich pamięci, nie z obawy przed niemim. Z tego wynika, że największym zaszczytem dla Japończyka na świecie doczesnym jest śmierć, ponieważ zaś dla zmarłych jest źródłem i powodem kultu.

Wielce doniosłe znaczenie dla rozwoju Japonji miało podbicie Korei w 200 lat po Chrystusie przez cesarza Wjingo-kogo, która była jednocześnie wówczas wiodącym zwyciężyciel armji. Przez Koreję Japonia nawiązała stosunki z Chinami, mając wskutek tego możliwość zapoznania się z ich kulturą w owym czasie niezwykle wysoko rozwiniętą, która miała wielki, a nawet dominujący wpływ na stan i rozwój kultury i cywilizacji. Dzięki życzeniu księcia Shotokutaishi cesarza Suika w r. 607 zawarła publicznie związek przyjaźni z chińską dynastją Sui. Odtąd konfucjanizm praktyczno-polityczny, jako bardzo odpowiadający usposobieniu Japończyków, niż buddyzm, zapanował szybko na wszystkich polach, a więc: w sztuce, nauce, zwyczajach, obyczajach, w języku, literaturze i prawodawstwie.

Taksamo, jak klasztory w wiekach średnich w Europie, tak kapłani Buddy i Shinto w owym czasie byli przedstawicielami oświaty i kultury materialnej i duchowej Japonji. Jak w Europie kultura grecka była »źródłem« i podstawą duchowego życia, tak w Japonji znajomości literatury chińskiej i jej klasyków była zamiastem wyższego stopnia naukowego.

Wobec tego należy zaznaczyć, że wielce znamienną rolę w rozkwicie kultury japońskiej odegrał wspomniany już książę Shotokutaishi, zapalony zwolennik kultury chińskiej, który nakazał, aby urzędnicy państwowi ubierali się inaczej, niż zwykli śmiertelnicy, oraz starał się w nich wpoić surowe pojęcie obowiązku. On właśnie był jednym z największych zwolenników zawarcia sojuszu z Chinami, gdzie wówczas rozwijały się nauki i sztuki, które następnie pod dynastją Tang (618—916) doszły do najwyższego rozkwitu.

Dziękli zawartemu sojuszowi cesarz Jusshaku sprawdził z Chin południowych pierwszą krawcowa i tkacki, aby przyczepić te rzemiosła Japonkom. W wieku piątym zaczęto wyrabiać w Japonji brokat i adamaszek, oraz z jedwabiu kosztowne hafty.

W r. 701 wydano zbiór praw chińsko-japońskich, w r. 720 zostały ukończone roczniki japońskie »Nihongi« i »Nihonshoki«, które są właściwie urzędową historją państwa japońskiego, napisaną w języku chińskim, składającą się z trzynastu tomów. Dzieło to posiada

tylko niewielką wartość historyczną. Najstarszą księgą, jaka doszła do naszych czasów, jest »Kojiki«, roczniki starożytne, zebrane w r. 712 przez Jasumaro. Oba te dzieła, pomimo niedoleżnej formy i małej wartości historycznej, zaliczone są jednak do dzieł klasycznych, w zasadzie posiadają tylko wartość mityczną, obyczajową, językową i legendarną starej Japonji. Taksamo zaliczono do dzieł klasycznych księgę poezji starożytnych Manyooshu (Zbiór tysiąca kartek), która przechwuje najdawniejsze zabytki poezji japońskiej, sięgające czwartego wieku, a ukończoną została za czasów mikada Hei-zei (806—809). Zaznaczyć ponadto należy, że od połowy siódmego do końca wieku ósmego poezja i rzeźbiarstwo w Japonji osiągnęły największy szczyt rozwoju, czyli święty wiek złoty.

Podczas całego okresu, który się ciągnął od pierwszych stosunków z Chinami, aż do utworzenia szogunatu pod dynastją Tokugawa Iyeyasu, t. j. od czwartego do siódmego wieku, wychowanie młodzieży japońskiej pozostawało całkowicie w rękach kapłanów buddyzmu. Dopiero ostatni z dynastji szogunów książę Iyeyasu (1603—1868), dzięki niepospolitym zdolnościom i ambicji, zdołał z przetrwać państwo wskutek ogłoszenia kodeksu p. t. »Hiaku hoorisu« (Sto praw), w którym w najdrobniejszych szczegółach określił tryb życia różnych kast społeczeństwa japońskiego. Ponadto działalność odegrała wielką rolę w wychowaniu świeckim, które odtąd rozwijało się szybko i dosięgnęło punktu kulminacyjnego w początkach wieku siedemnastego. Dziś ludzie, nieumiejący pisać i czytać, należą tam do okazów niezwykle rzadkich. W tym samym okresie czasu na wzór uniwersytetu chińskiego, istniejącego w Pekinie »Kuo-tse-kien«, czyli »Zwierchność naczelna« doktorów państwa», rodzaj wszechni, dającej najnowsze wykształcenie w Chinach, założono w Japonji pierwszą szkołę główną »Dai-Gako«, odpowiadającą naszemu uniwersytetowi, do której dopuszczano tylko młodzież stanów wyższych. Poza wykładami historii, klasyków chińskich, prawa, matematyki, ćwiczenie pamięci było tam zawsze stawiane w pierwszym planie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z WIECZORÓW

POETYCKICH

— Wieczór recytacyjny Jerzego Ronarda

Bujańskiego z resytacją »Reduty« wileńskiej w sali w Krakowie, przy wypełnionej sali Kopernika U. J. Młody ten recytator usiłną pracą nad kulturą głosu i zagarnięciem jaknajszerszego jego skali, przy równoległości estetyki dźwięku, oraz literackim zrozumieniem, czy może odczuciem raczej recytowanych utworów, zdobył sobie pierwszorzędną stanowisko wśród recytatorów polskich. Ostatni jego wieczór recytacyjny przekał słuchaczom ostepie, jaki uczynił młody artysta-literat od zeszłego roku, w którym, przebywając w Krakowie, dawał się często słyszeć. Postęp — to znaczy praca. Jeżeli ktoś usilnie pracuje, znaczy to, że doprowadzi do wielkich rzeczy. Wieczór obejmował bardzo składowy program, co się tłumaczy częściowo szybkim jego przygotowaniem, częściowo zwracaniem uwagi na pewne recytatorskie efekty. Zaznaczyć jednak trzeba, że mimo wywoływania tych efektów, Ronard nigdy nie zatracił treści recytowanego utworu, co się przerażająco często zdarza recytatorom. Usłyszeliśmy poezję: Jerzego Brauna (»Woda«), Jana Brzękowskiego (»Tunel«), J. A. Galuski (»Zielone Święta na Panińskich Skłalach«), Władysława Krygowskiego (»Ballada o Łukaszku«), Jana Lechona (»Herosz«), »Pilsudski«, »Mochnacki«, »Polonez artylerjski«, Stanisława Młodożęca (»Słota«), Władysława Orkana (z »Drzewiej«), Tadeusza Peipera (z A«), Marjana Sewiego (»Ponad obowiązek«), Janusza Stepowskiego (»Dwaj poeci«), Juliana Tuwima (»Garbus«), Witolda Zechentera (»Pieśń o dniach przyszłych«), Emila Żegadłowicza (ze »Skłorza«), w końcu wiersz recytatora (»Do Adama Wileńskiego«). Najsilniej i najpiękniej wypadły wiersze J. Lechona i W. Zechentera. (z).

JERZY BRAUN

ODTRĄCONY

I.

Imię jego: Allan, brzmiało bardzo sympatycznie i pieściwie, poza tem jednak nie znajdowano w niem nic szczególnego.

Rano wstawał, dzień spędzał, jak codzień, a wieczór zasypiał smacznie. Sny unosiły go wprawdzie niekiedy w mgliste obszary nieokreślonych, dziwnych wydarzeń, w świat, w którym jego mała osobistość gubiła się w chaosie bezsensownych, widmowych sytuacji, ale o świecie — trzeba mu to przyznać — umiał się z nich otrząsać tak energicznie, że ulatniały się bezzwłocznie i plochliwie, jak dymek z papierosa.

I znów Allan wkraczał na lube podwórko rzeczywistości, którego atmosfera przesiąknięta była słodkawym, banalnym zapachkiem.

Aspiracje jego nie zagalopowały się zbyt daleko, zainteresowania zaś krążyły powolutku i od niechcenia dokoła owego szarego kota, w którym warczą się i bulgocą kawiaręni, gazety, biurko i stukot nadąsanej stenotypistki.

To też znajomek jego splewał mu niemiłą figlę, przysyłając mu zaproszenie na herbatkę towarzyską u państwa M., których dom był ośrodkiem nadętego snobizmu i ocierał się z lubością o nazwiska znanych i cenionych w mieście filarów literatury.

Allan wrzucił ramionami, zdziwił się niepomernie, ale poszedł.

Państwo M. rozlewali się w uśmiechach i dogocąc ze wzruszenia puszczali w ruch oporny młyn rozmowy, która konieczni musiała być arcymądram i arcyniepospolitą. Usmokingowane postacie mężczyzny i rozebrane z wdziękiem sylwetki kobiet poruszały się w gęstej, popielatej chmurze dymu papierosów, czarna kawa, likiery i słodczye puszyły się na stołach i stolickach. Ktoś porozumiewał się nieudolnie z pianinem, a z gęstym dialogów i gromadnych dyskursów wydobyla się od czasu do czasu charakterystyczny dźwięk. Było to obojętne podzwonne nad flaszki likieru, będącymi w stadium agonji.

W ten sposób na gwałt fałszowano atmosferę »bohemy«.

A jednak nie brakło w tem gronie osób, których inteligencja wybliskiwała, jak piuronne zygaki na czarnem tle przeciętności. Byli tu w tłumie ludzie o umysłach bystrych i świetnych temperamentalach artystycznych, których rozmowa działała, jak magnes.

Powoli też gwar milką, a coraz więcej postaci skupiało się około dwu znanych literatów, którzy z iskrzącymi oczyma zatapiali się w dyskursie o sztuce.

Gdy Allan zbliżył się do nich, omawiali jakąś nowość księgarską.

— Według mnie — zaciętrzewiał się jeden z nich — »Orla i gołębic«, to dzieło największego geniusza współczesności. Gdy to czytałem, trząsałem się cały, dosłownie, trząsałem się. Rozmach tej koncepcji twórczej jest tak olbrzymi, że wydało mi się, jakobym był wyrzucony w górę przez jakąś tytaniczną dźwignię na niezmierną wysokość.

— Czytał pan »Orla i gołębicę«? — zapytała Allana jakaś demonicznie piękna niewiasta.

— Nie czytałem... niestety — bąknął zmieszany i niewiadomo poco palący rumieniec pojawił się na jego obliczu.

Zgromiła go wzrokiem.

— To wprost nieprawdopodobne. Wszyscy czytają tę książkę, co mówię, pochłaniają ją. Popyt na nią jest równoznaczny ze szturmem na księgarnię...

Nie odpowiedział. Uszy jego czyhały na każde słowo, wybiegające z ust rozmówców. Nigdy nie podejrzewał u siebie tak lakomego zainteresowania się literaturą...

— Kid i Nellith — odezwał się drugi literat — to dwoje ludzi cudownie się uzupełniających. Ich miłość jest klasyczna, jak rzeźba Praksytlesa, a typy ich wyrzeźbione są dłutem geniusza. Nie zgadzam się jednak z tobą, aby reprezentowali jakąś ideę wszechludzka.

— Błuznisz! Kid i Nellith, to cały świat. On, to symbol męczyzny, żywiołowego zdobywcy, olbrzymiego kowala, pracującego w kuźni przyrody. Ona, to symbol kobiety, niosącej w dłoni mistyczny zwiat ducha. Tkliwość i poświęcenie, to jej nieodłączne przymioty. Ujawszy łagodnie jego szorstką, drugoczną dłoń przesłucha swe swój polot duszy, swoją nadziemską, woje ku gwiazdom zapatrzenie. Kid ujarzma ziemię rozumem i wolą. Nellith go z miem jednoczy — sercem.

— Jakkolwiek bądź tłumaczyć sobie to będziemy, trzeba stwierdzić, że autor tej na-

tnionej powieści postawił sobie pomnik spżowy... Tak mówili, a Allan dziwił się...

II.

Nazajutrz rano Allan kupił sobie tę książkę. Zapakowano mu ją w jaskrawy papier czerwony, czerwony, jak krew. Subjekt, który mu ją podawał, czynił to z wyraźnym uroczystym gestem. Uderzyło to Allana i uśmiechnął się.

— Rozumiem cię bratku — pomyślał — czytałeś ją już i spoglądasz na mnie z wyższością, tak, jak ta wczorajsza demoniczna dama. Ale nie masz się czego puszczyć. Ty z pewnością nie orientujesz się wcale, czym są Kid i Nellith. Zdjaje ci, się, głupcze jeden, że to tylko wycieczny romans dwojga ludzi. Hoho, mylisz się! Kid i Nellith, to cały świat.

Słowa, które usłyszał wczoraj, zapadły mu głęboko na dno duszy, jak zatopione, dźwony i dźwony w niej głucho, jak w toni jeziora. Właśnie to po raz pierwszy otarł się o świat tajemnic i napełniało go to dreszczem.

Gdy szedł ulicą, domy kołysały się nieco. Tak mu się przynajmniej zdawało, nie wiedział bowiem, że to tylko duszę jego pchnięto i rozkołysano zniecałką, jak wahadło i patrzył na świat przez jej chwiejne okulary.

Niosł w lewej ręce czerwony pakiet na sznurku. W pakiecie tym — to było pewnikiem — znajdował się Kid, symbol męczyzny i imiona brzmia! Conajmniej niezwykle.

— U nas, w biurze, nikt nie nazywa się Kid. To bardzo dobrze. A czy istnieje na-

prawdę kobieta imieniem Nellith? Nie, to zbyt piękne imię... Byłoby mu bardzo przykro, gdyby jedna z tych wyszminekanych, pstrych, dekolowanych kobiet...

— Gdybym naprzykład zapytał tej: Przepraszam, jak pani na imię... — Na imię mi Nellith — zabrzmiałaby jej odpowiedź...

— Pfe — splunąłby wtedy ze zgroźeniem i odwróciłby się na pięcie....

Takie snuły myśli, a na bruku pod jego rączami stopami ktoś pisał rzędy czerwonych liter: Kid i Nellith, to cały świat... Kid i Nellith, to cały świat...

W domu jego było, jak zwykle, cicho i ot tak sobie.

To też, gdy położył z uszanowaniem na stole czerwony pakiet, zawierający książkę, zrobiło mu się głupio. Bo jakimże okiem spojrzę na stronę jej oni, bohaterowie, na ten ordynarny, trywialny pokój.

Czuł jednak, że obecność książki w tem mieszkanku przercała je. Coś promienistego rozkwitało ponad stołem, meble poczerwianoły z zakłopotaniem niepozabawionem oznak wzruszenia, a powietrze nasiąkało szybko, jak wielka gąbka, czemś podniosłem, od czego serce podchodziło do gardła.

Nie czytał jej odu. Niech leży... Dzień jest codzienny i zbyt wiele w nim pyłków pospolitości. Zato wieczór...

Wieczór po raz pierwszy wypadł udatnie, jak z powieści.

Dotychczas Allan nie widział w zachodach słońca nic nadzwyczajnego i dziwił się, że

MARJAN SEWI

Nieśmiałości śmiesznym płaszczem szczerze,  
[posępnie owity,  
Naprawdę zwiędłym smutkiem cały się za-  
[wlekam,  
Łamie samotność moją, rozsada ją switem  
Uśmiech, który jest Tobą, na który czekałem  
[i czekam...  
Już wiersze, jak motyle, fruwają dokoła,  
Już chwile są, jak siatki i wiersze niemi łowię,  
Już po imieniu na każdej ulicy, na każdej  
[bramę wołam,  
I jestem lekki i szybki, jak słoneczny promień!  
Wakacje pachną słodko i świeżości, jak akacje,  
Oddycham tem, co naprawdę jeszcze się nie  
[stało —  
...Wierzę, że promienna moja trwać będzie  
[egzaltacja,  
Póki trwać będzie moja ogromna nieśmiałość.

JOSÉ-MARIA DE HEREDIA.

ŹRÓDŁO

Wśród traw i jeżyn legły ołtarza kamienie;  
Z pod nich kropla po kropli leniwie wytryska  
Źródło ciche, samotne, źródło bez nazwiska —  
Nimfa wciąż się skarżąc w łzach na za-  
[pomnienie.  
Zwierciadła jego wiatru nie poruszy technienie.  
Zaledwie gołąb skrzydłem powierzchnię roz-  
[pryska,  
Lub księżyc, kiedy wszędzie nad ruin zwaliska,  
Odbije w nim swe drżące, srebrzyste pro-  
[mienienie.  
Czasami tam pragnienie gasi pasterz młody;  
Orzeźwiony, usiada na kamień omszony  
I z wkleślej dłoni strząsa resztę świeżej wody  
Czyniąc ruch nieświadomy, gest odziedziczony;  
I nie widzi w pobliżu, gdzie mur wółżwalony,  
Waz i czarek, co niegdyś służyły na gody.

NIEWOLNIK

Takim nagi i brudny niewolnik, żywiony  
Podłą strawą — patrz, piętno na zaschniętej  
[ranie —  
Ujrzałem świat w zatoce cudnej niesłuchanie  
W której Hybla odbija miodne swe korony.  
Niestety gdzieś daleko te szczęśliwe strony!  
Gdybyś kiedy z Syrakuz wszedł niespo-  
[dziewanie  
Na pola pszczelnych winnic — spytaj, drogi  
[panie,  
O tę, której dać chciałem miano lubej żony.  
Ujrzeż jeszcze pod brwiami smętne fiolety  
Jej oczu, w których lazur przeliera ojczyzna?  
Jakże drogie mi były oczy tej kobiety!  
Bądź litościwym! Zajdź tam, szukaj Klearysty,  
Powiedz, żem żyw, bom w losy nie zwątpił  
[łaskawsze.  
Rozpoznasz ją wśród innych, gdyż jest smutna  
[zawsze.

ALBERT SAMAIN.

DZIEWCZYNY W ZMIERZCHU

— Nais, nie mogę dojrzeć twych włosów  
[piersi...  
— Lido, a ja łabędzi na wodzie, wśród  
[cieni...  
— Nais, czy mi się zdaje — słyszę flet  
[pasterza?  
— Lido, czujesz jak zapach pomarańcz  
[uderza?  
— O Nais, skąd to drzenie w wieczornej  
[godzinie,  
Gdy widzę, jak powoli słońce w morzu ginie?  
— A ja czemu mam Lido pełne łez powieki,  
Gdy słyszę gwar na drodze sciszony, daleki?  
Tak to Nais i Lida, dwie piętnastoletnie  
Dziewczyny — gdy się w wioskach rozekają  
[fletnie,  
A z drzew rozkwitłych, z kwiatów bije zapach  
[ostry —  
Ku sadowi nachylone z tarasu dwie siostry,  
Czując w sercach rosnące, dziwne niepokoje,  
Usta z ustami łączą i przez włosów zwoje,  
Co splecione na czoła zbiegły im z warkoczy,  
Wyteją w głąb zmierzchu zalążone oczy...  
Przełożył Józef Klemeniewicz.

WYWIAD Z HENRYKIEM BÉRAUD

Istnieje w Paryżu stowarzyszenie, zwane »Klubem stukilowców«, bo każdy z członków tego klubu zobowiązany jest wazyć conajmniej dwieście funtów. Do klubu tego należy między innymi Henri Béraud, znany pisarz francuski i laureat nagrody Goncourtów. Nagrodę tę otrzymał Béraud za powieść »Męczeństwo grubasa«.

— Właściwym moim zawodem — opowiada mi p. Béraud — nie jest w każdym razie literatura. Literatem stałem się tylko dzięki przypadkowi. Przedtem byłem robotnikiem. Jako syn piekacza w Lyonie już we wczesnym wieku musiałem iść się pracy »pożytecznej«. Byłem z kolei węglarzem, winogrodnikiem, dekoratorem, antykwaryuszem. W wolnych chwilach pracowałem nad sobą, czytałem bardzo dużo. Później wyjechałem do Paryża, gdzie znalazłem — przypadkowo zresztą — posadę reportera w redakcji jednego z pism codziennych. Wtedy to »pisząc, nauczyłem się pisać«. Podczas mego dziennikarstwa napisałem przeszło czterysta sześćdziesiąt tysięcy wierszy sygnowanych — zanim jeszcze zabrałem się poważnie do literatury! Wspomniałem już panu przedtem, że literatem stałem się tylko dzięki przypadkowi. Zaczęło się to właściwie od kłopotów materialnych; potrzeba mi było na gwałt piętnastuset franków. Wspomniałem o tem jednemu ze znajomych, który był nakładcą, i ten zaproponował mi wydanie powieści. Wiedząc, że tego rodzaju propozycje trzeba brać na gorąco, bo inaczej nic z nich nie wyjdzie, zgodziłem się natychmiast. Ale na tem nie koniec. Znajomy mój, jak każdy nakładca zresztą, wpada od razu w entuzjazm i dopytuje się chyttrze o temat — o temat projektowanej powieści. A ja nic. Pot ze mnie się leje, nie odpowiadam na jego pytania, patrzę w inną stronę i udaję roztrągniętego. Temat powieści? A ja żadnego tematu jeszcze nie mam! Nagle wpadam na pomysł: Panie — mówię mu — chce pan koniecznie wiedzieć, jaki mam temat? Jeśli pan chce, napiszę panu powieść pod tytułem: »Męczeństwo grubasa«. Wrażenie było nieoczekiwane. Mój nakładca zaczął cieleć się zachwycać i przyrzekł wypłacić honorarium natychmiast po dostarczeniu mu manuskryptu. W rezultacie, ośm dni — no, i nocy — później oddałem mu gotową powieść. Uważam ją zresztą za bardzo słabą.

— Ale — ośmielać się wtrącić — za nią własnie dostał pan nagrodę Goncourtów?  
— To nic nie znaczy. Od tego czasu napisałem kilkanaście innych książek. Znam zresztą opinię pana w tym kierunku i przyznaję na dobrą sprawę, że poruszony temat jest doprawdy bardzo wielki, ale... mam tego dość. Wszyscy przylepił mi etykietę autora »Męczeństwa grubasa«, tak, jakbym na tem zakończył. Czy nie widzą, do diabła, jaka droga, jaki wysiłek leżą między tą a ostatnią moją powieścią »Le Bois du Templier pendu«?  
— Zbyt srogi jest pan w tej chwili, dopiero wczoraj czytałem w »Paris-Soir« i »Volonté« entuzjastyczne artykuły o pana ostatniej powieści! A propos — jaka jest opinia pana o krytyce współczesnej?  
— Mogę oczywiście mówić tylko o francuskiej, ale sądzę, że i zagranicą nie jest inaczej. Wybitnych krytyków można wyliczyć na palcach jednej ręki. Poza nimi krytyka stoi niżej wszelkiej... krytyki.  
— A z literaturą?  
— Znacznie lepiej, bo tu główną rolę odgrywa talent, a młodych talentów mamy sporo, jak n. p. Deltell, Montherlant, Drieu La Rochelle. Z surrealistów szczególnie Aragon ma przed sobą dużą przyszłość. Ale i tu nie trzeba się ludzi. Wprawdzie od czasu wojny mamy hyperprodukcję literacką — wychodzi teraz we Francji znacznie więcej książek, niż dawniej — lecz ilość dobrych książek nie zwiększyła się bynajmniej. Każdy rok literacki przynosi zaledwie pięć — sześć tych dobrych książek.  
— Jeszcze jedno pytanie. Jakie są plany pana na przyszłość?  
— Ho, ho! Ażeby otrzymać odpowiedź na to pytanie, musiałby pan zrobić ze mną specjalny wywiad. Trudno — mam wielkie ambicje, to też roi mi się w głowie nie od planów, ale od tematów, ściślej już skrytalizowanych. Chciałbym napisać szereg powieści historycznych, począwszy od XV. wieku, na którym kończy się ostatnia ma powieść, i idąc dalej z biegiem czasu dościs do wojny światowej i lat powojennych. Obecnie piszę powieść p. t.: »Mon ami Robespierre...« Paryż, w lipcu.

Artur Prędski.

HELENA KWIECIŃSKA

GEORGE SAND W 50-LECIE ŚMIERCI

Pięćdziesiąt lat temu, 8 czerwca 1876 r., zmarła na zamku swoim Nohaut, w prowincji Bérny, jedna z najpoczytniejszych powieściopisarek ubiegłego stulecia, Aurora Dupin-Dudevant, znana pod pseudonimem George Sand.

Dziwna ta kobieta, sławna zarówno przez swe dzieła, jak i przez bujność swego temperamentu, jest do pewnego stopnia złączona tradycjami z Polską: prawnuczka Maurycego Saskiego, który, jak wiadomo — był synem Augusta II-go Mocnego i Anny Königsmark. Ważniejsze jest jednak to, że odegrała ona wybitną rolę w uczuciowym życiu Chopina.

Nietylko Chopin uległ nieprzypademu urokowi »czarnookiej kobiety«. Przykuwała ona do siebie wszystkie najwybitniejsze jednostki 19-go wieku.

Aurora Dudevant, chociaż za młodu paliła cygara i ubierała się po męsku, chociaż prawdziwie »piękną« nigdy nie była, posiadała w wysokim stopniu to, co Goethe określił, jako »das ewig weibliche«. Przy tem umysł jej, może nietylko głęboki, ile giętki i błyskotliwy, posiadał zdolność naginania się do wszystkich haseł i prądów, a szalony temperament w połączeniu z wysoką kulturą ducha, uczynił z niej zupełnie wyjątkową kobietę.

Urodzona w Paryżu w 1804 r., wychowuje się naprzód u babki, na zamku Nohaut, następnie w klasztorze.

Od najwcześniejszej młodości odznacza się już wybitną samowolą. Wyszła za mąż w 1822 r. za barona Dudevanta, wkrótce się z nim rozwodzi. W r. 1833 poznaje Alfreda de Musset i wkrótce szalona namiętność łączy ich na jakiś czas.

Znalazszy się w trudnym położeniu materialnym, postanawia oddać się pracy literackiej i już w r. 1831 wydaje powieść »Rose et Blanche«, napisaną do spółki ze znanym wówczas pisarzem Jules Sandeau, od którego nazwiska wzięła pseudonim. Powieść ta, chociaż należy do najslabszych jej utworów, zyskała jej duży rozgłos.

Już w roku następnym wydaje drugą powieść »Indiana«. Sand stale sama pozuje sobie na bohaterkę swoich powieści i przedstawia siebie w jaknajkorzystniejszym świetle. Duża znajomość duszy ludzkiej, barwność stylu i romantyzm treści, sprawiły, że stała się najpopularniejszą powieściopisarką nietylko we Francji, ale i poza granicami.

W pierwszym okresie swojej twórczości ulega wpływom Rousseau'a i całej literatury 18-go wieku. W powieściach z tej epoki przeważa pierwiastek sielankowo-liryczny. Później widokrag jej się rozszerza, aż stanie się apostołką religii humanitarnej, mającej na celu uszczęśliwienie ludzkości i wstąpi w szeregi socjalizmu. Wtedy pisze »Consuelo«, »Le compagnon de la tour de France«, »Le péché de monsieur Antoine«, wreszcie »Spiridion«, stanowiący jakby credo jej ówczesnych pojęć religijnych.

Kiedy wreszcie znudzona życiem miejskiem i zawodami miłośnicy, zamyka się w zacisznym zamku Nohaut, rozpoczyna się trzeci okres jej twórczości, już zupełnie sielski, kiedy prosto i bezpretensjonalnie opisuje życie wsi i wieśniaków, nie pozując na żadne apostołstwo i nie wygłaszając żadnych górnych teorii. Te właśnie jej dzieła, jak: »La petite Fadette«, »François le Champi«, »L'homme de neige« należą do najlepszych.

Z ostatniego okresu jej życia, kiedy jako dobrodliwa babunia, z uśmiechem pobłażania spogląda na przeszłość i ludzi, zostały jeszcze romantyczne i nieco banalne idylle przeważnie z życia arystokracji, jak: »Jean de la Roche«, »Le marquis de Villemer« i inne.

Wadą psującą całokształt jej dzieł, jest wielka rozwlekłość, oraz zbyt silne oddalenie się od rzeczywistości. Gnana ciągłą gorączką twórczą, nie wykaźca odpowiednio postaci swoich bohaterów.

Chociaż dzisiaj sława jej powieści przysła, żyje ona jednak, jako kobieta, której pamięć złącza się nierozzerwalnie z pamięcią dwóch najsubtelniejszych artystów 19-go wieku: Musset'a i Chopin'a.

KAROL ESTREICHER

ROLA SYTUACJI W KINIE

(Dokończenie).  
IV.  
O ile w pogoni za sensacją teatr stał się nudnym kinematografem, o tyle film żyje sensacją. Sensacja, o jakiej myśle, podporządkowana sytuacji, różni się jednak od tej ostatniej. Każde gwałtowne skupienie uwagi zapomocą treści na formie jest sensacją. Treścią będzie w tym wypadku moment oczekiwania, pod formą rozumienia najczęściej ruchu.

Momentem oczekiwania różni się sensacja od sytuacji. N. p.:  
Dorota Vernon pędzi na koniu po murze. Spadnie czy nie?  
Sensacja jest jedną z trwałych wartości kinematografii, co więcej, jest zawsze chętnie przez widzów oglądana. Filmy, nie operujące sensacją, muszą być nudne.

V.  
Obraz we filmie różni się tem od sytuacji i sensacji, że się w nim nic nie dzieje. Posiada własne niezależne od akcji piękno. Niezależnie też od akcji jest interesującym. Jest bliskim artystycznym fotografii.

Podobał mi się bardzo reklamowy film »kunerolu«. Maszyny fabrykujące niesympatyczny tuszcz, miały w sobie piękno, przesuwanie i opakowujące kostki. Zawsze, n. p. chętnie oglądaliśmy ładne zdjecie bawiących się kotów.

Jednak obrazy we filmie pociągają zawsze prawie nowością. Oglądane często nudzą się. Typowym filmem obrazowym, o wysokich wartościach artystycznych, była »Tajemnica białej ciszy«, a jednak gdyby filmy podobne wyświetlano częściej, nie przyciągałyby one widzów.

Filmy naukowe są filmami obrazowymi. Niema nich gorszego nad przedłożowane filmu obrazami. Wytwórnie polskie winny pamiętać, że nudnego filmu »psychologicznego«, nie ożywią swojskie obrazy.

VI.  
A w końcu akcja. Akcja w wartościowym filmie odgrywa trzeciorderną rolę. Wykazują to najlepiej sytuacyjne komedje amerykańskie i sensacyjne dramaty. Tajemnica niepowodzenia filmów polskich, leży w nużącym balacie akcji.

Akcja winna służyć wobec tego do spajania w całość sytuacji, sensacji i obrazów. (Stosunek tych ostatnich do akcji, starałem się określić wyżej).

VII.  
Zastosowanie w kinematografii, w całej pełni, czynnika sytuacji, sensacji i obrazu, a zmniejszenie czynnika akcji, daje nieskończony szereg możliwości kinematograficznych, wytwarzających odrębną rzeczywistość filmową.)

(Film wykonany na tej zasadzie nie jest eksperymentem, gdyż: 1-mo istnieją filmy, czyniące zadosek powyższemu rozważaniu, nie uważane za eksperymentalne — 2-do eksperymentu polega zawsze na oparciu się na nowych podstawach, dotąd nieistniejących.)

Z chwilą przyjęcia tej rzeczywistości, otwiera się przed twórcą olbrzymi horyzont możliwości. Każda sytuacja, sensacja, byle zgodna z logiką rzeczywistości kina, byle posiadająca ruch i piękną kompozycję, należy do sztuki filmowej.

Aktor przestaje być maszyną kopiującą niewolniczo życie. Może być sobą. O ile w teatrze aktor oddaje nieliczną skalę uczu ludzkich, o tyle aktor filmowy będzie odgrywał niezliczone możliwości ruchu.

Kino stanie się olbrzymią sztuką ustosunkowania elementów w sposób niespotykany nigdy w rzeczywistości życiowej.

NOWE KSIĄŻKI M. SAMOZWANIEC

»Dodatek Nadzwyczajny«. E. Wende i Ska. Warszawa (1926). Str. 45. — »Starość musi się wysumieć«. E. Wende i Ska. Warszawa (1926). Str. 142.

Nowe książki Magdaleny Samozwaniec są istotnie nowymi w naszej literaturze. Tego, co stwarza Samozwaniec swoim stylem i jedynie sobie właściwymi sposobami wywoływania komicznego efektu, nie spotykano się dotychczas nigdzie. Zdziwiająca jest zdolność autorki »Malowanej żony« w kierunku stosowania znanych powiedzeń, przysłów i porównań w nielogicznych sytuacjach porównawczych. W każdym prawie zdaniu napotykamy ten rodzaj świetnego i niezawodnego wywoływania komizmu. Również często posługuje się Magdalena Samozwaniec trudnym a efektywnym okresem, opartym na rzekomej niezrozumieniu jakiegoś słowa. Każda z tych sytuacji stylowych jest świeża, młoda i nowa, każda wywołuje oddźwięk najweselszy w ląknącym dziś podobnej lektury czytelniku.

Magdalena Samozwaniec jest dziś najwybitniejszą humorystką polską. Ktoś kiedyś pisał, że jest ona »drugim Makuszyńskim«. Zupełnie błędne twierdzenie czy mniemanie. Makuszyńskich przedewszystkiem jest dwóch — ten dawniejszy, i ten obecny, bardzo zmanjerowany, bardzo rzadko nie powtarzający się i nie fotografujący samego siebie. Samozwaniec jest zawsze oryginalna. We wszystkich jej książkach znalazłem tylko jeden dowcip dwa razy powtórzony (»zagłębiony po uszy w siwej brodzie«). Ta oryginalność, ta świeżość właśnie Magdaleny Samozwaniec oddaje oddzielnie miejsce w literaturze naszej.

Dwie ostatnie książki młodej autorki są wprost kapitalne. »Dodatek Nadzwyczajny« zawiera »Kartki z pamiętnika młodej mężatki.«, która znalazła się w Warszawie w dniach czynu majowego

\*) Ukazała się ta książka także p. t.: »Kartki z pamiętnika młodej mężatki« z dołączoną nowelką »Trudności z doktorem«; jest to wydanie bez wiedzy autorki (E. Wende i Ska. Warszawa (1926). Str. 59.

1926 roku. Przyjechałszy z Paryża i nic nie orientując się w sytuacji, obdarzona prztem gosim mózdzkiem i genialną nielogiką kobietą, bohaterka książki postępowaniem swoim i swemi refleksjami wywołuje świetne efekty humorystyczne. Jest to, zdaje się, jedyna wesoła rzecz, jaka opłotła się dokoła tych dni krwawych.

»Starość musi się wysumieć« — to zbiór nowel i obrazków humorystycznych na rozmaite tematy. Najlepszym jest »Praktyczny przewodnik po Turcji«, nad którym czytelnik musi śmiać się aż do łez i z powrotem — pisząc w kategoriach autorki. Zabawną jest próba »Dramatu wierszem«, »Tragedja niewidomej«.

Wielkie zacięcie satyryczne, które głęboko aktualizuje utwory Magdaleny Samozwaniec, dodaje jej rzeczom ostrego smaku. Dosty też jest »pięprzyku«, któryby mógł nawet niejednego zgorszyć i dlatego Magdalena Samozwaniec jest tak poczytna w kołach uczenia, szczególnie pensjonarek przy zakonach rozmaitych SS. Przynać jednak trzeba, że te wypadki niemoralne (!) po największej części są bardzo moralnie ukryte w zgrabnym dwuznaczniku, lub zatuzowane jakimś wyższym elementem humorystycznym.

Nad naszym miastem, nad naszym »podwalemskim grodem«, który jest taki ciężki i ospały »pod względem« jasnym, przeryzanych, a dobrych dowcipów, który tak ponuro odnosi się do humoru i miewa ciągle różne humory i zły humor, nad tem miastem smutnym i zadeszczonem trzeba koniecznie ulokować ogromny transparent z napisem:  
— Obywatelo!  
Czytajcie książki Magdaleny Samozwaniec!  
W. Z.

Abonujcie »Gazetę Literacką«

tak się o nich rozpisują powieściopisarze i poeci. Ale dziś to całkiem co innego. Niebo gore, jak sto pochodni, mnóstwo barw piętrzy się na niem smuga nad smugą. Jakby umyślnie. Jakby wiedziało, że Allan znacznie zaraz czytać swoją książkę.

Poglądził pakiet dłonią, a był on czerwony, jak krew. Potem odwiązał sznurek i z szalestem zdjął papier. Książka była biała i czysta. Trzeba sobie było czempredziej umyć ręce, by jej przypadkiem nie poplamiać. »Orzeł i gołębica« — oto jej tytuł.

Usiadł pod lampą i czytał... Za oknami świat czerniał i roziskrzyły się gwiazdy. Potem zaczął padać śnieg. Taki biały, puszysty śnieg, który tłumi odgłos kroków, a zatrzymuje na sobie chyttrze ich odciski ślady. Allan czytał.

Oczy, wlepione w książkę, oczy, któremi wodził z lewa na prawo, z pośpiechem, błyszczały gorączkowo. Przerzucał kartkę za kartką ruchem automatycznym, jak urzeczony. Serce biło mu mocno, czoło marszczyło się.

O tak, była to niesłychana książka. Takiej nie było chyba dotąd, jak świat światem. Mówiła ona do niego, do Allana cichym, czarodziejskim szeptem, że Kid był to przepiękny, jasnolosy mężczyzna i że był wielkim wynalazcą, dla którego przyroda nie miała tajemnic. Zato Nellith, to była dziewczyna skromna i miękka, jak aksamit, a serce jej przepelnione było tkliwością i poświęceniem. Kid kochał ją, bo była łagodna i zapatrzona w gwiazdy, a ona kochała Kida, bo był potężnym, niepomahowanym i wyciosanym z żelaza.

Oboje szli, trzymając się za ręce, wprost do celu i...  
Tak, Kid i Nellith, to był cały świat...  
III.  
— Pewnego razu — mówiła książka — Kid, powróciwszy ze swego laboratorium, gdzie pracował nad niebywałym wynalazkiem, zastał u siebie Nellith, czekającą nań w jego skromnej izdebce. Wcale się nie zdziwił (albowiem Kid nie dziwił się niczemu), jeno skłoniwszy się głęboko, rzekł:  
— Jakże się cieszę, że odwiedziłaś mnie, Nellith...  
— Nikomu nie powinno się zdawać, że wielcy poeci, lub wielcy wynalazcy przemawiają jakimś odrębnym, niesamowitym językiem. Są oni bowiem kolumnami, na których wspiera się świątynia ludzkości, a słowa ich w prostocie swojej nasładują owe kolumny.

Nellith podniosła ku niemu dobre, przeysczone światłem oczy i patrzyła nań długo. A potem odezwała się tak mniej więcej:  
— Kid, nie pytasz się czemu przyszedł, bo ty nie dziwisz się niczemu. Ja jednak muszę ci to powiedzieć i to bez zwłoki. Przyszedł, bo ciebie kocham. Dotychczas nie wspominałam ci o tem, bo bałam się, że moja miłość przeszkodzi ci w wykonaniu twoich przepięknych planów. Dziś jednak, właśnie dziś, po głębokim namyśle doszedłem do przekonania, że mężczyzna bez kobiety jest, jako lew na pustyni. Gdy kobieta przyjdzie doń, pustynia zamienia się w ogród kwitnący. I jeszcze jedno pomyślałam sobie: Że ziemia i niebo dopełniają się wzajem. Weźże

ty w ręce berło ziemi, a ja pochylę się nad tobą z błogosławieństwem niebios. Wtedy dopiero owocną będzie twoja praca.

A Kid ucałował jej ręce i rzekł:  
— Masz słusność, Nellith. Moja żelazna, mechaniczna kuźnica czyni ze mnie jednostronnego, nieokreślanego robotnika. Ty mi zaszczerpisz swój polot i tchniesz w dzieło, stworzone przez mój rozum i wolę — ożywcze ciepło twej duszy...  
Tak mówiła książka.

Allan zamyslił się na chwilę, opuszczając bezwładnie ręce wzdłuż ciała. Poczem powtórzyl głośno:  
— Gdy kobieta przyjdzie doń, pustynia zamienia się w ogród kwitnący.

I naraz umysłowił sobie po raz pierwszy z przerażającą jasnością tę prawdę, że on to właśnie wałęsa się bez celu po pustyni. Ujrzał, że życie jego nie ma żadnej treści, żadnych celów, żadnego ideału. Że brak mu jakiegokolwiek bodźca w tem obmierzłym biegnienu w kółko, jakim jest jego rola na ziemskim padole. Tak, autor książki mówi prawdę. Kobieta jedynie może go wydobyć z tej rozpaczliwej nudy i jałowości jego srodowiska, kobieta jedynie zamieni mu może pustynię w ogród kwitnący.

I po raz pierwszy Allan, nieczuły, otepiaty Allan zatęsknił.

Wzdrygnął się i wrócił do książki.

— I stali się — czytał dalej — oboje sobie bliscy. On był mężem, a ona żoną, a życie ich odtąd było jedną legendą o szczęściu. Kid wyobryzwał jeszcze pod dotknięciem czarodziejkiej różdżki jej serca. Snuł

zawrotne plany, marzył o dźwignięciu wiedzy na najwyższy szczebel i o przemianie bytowania ludzkości w raj na ziemi. Wszystko udawało mu się, każde przedsięwzięcie kończyło się triumfem.

W miarę, jak Allan czytał, dusza jego poczęła dygotać i otwierać się, jak kielich kwiatu pod czarem słońca. Książka ożywiła się przed nim i rozwijała łańcuch zdarzeń z niezmierną wyrazistością, jakby na jawie. Szedł za autorem krok w krok, rozkoszując się każdym zdaniem. Serce poczęło uderzać w jego piersiach w takt tego potężnego pulsu, jaki wyczuwał się w tem dziele. Nerwy spletały się w jedność z nerwami liter. Książka wysnuwała ze siebie, jak ogromny pajak, srebrną, lśniącą sieć, która, zawieszając się przed nim, odgrodziła go zupełnie od rzeczywistości. Złapał się w nią, jak wąż owad i trzepocąc się, tkwił w jej opłotach.

— Aż raz — czytał w następnym rozdziale — gdy przyszła zima, a mróz począł zakładać na szybach okien swoje wiszące ogrodzy, Kid rzekł do Nellith:  
— Najmilsza, ubierz futerko, pojedziemy w świat daleko.  
— Gdzie? — zapytała zdziwiona.  
— Na biegun...  
Kid postanowił bowiem wynaleść sposób uwolnienia okolic podbiegunowych z pod panicy lodów, aby oddać nowy ład na pomieszkanie dla duszącej się w ciasnocie ludzkości.

Wsiadli tedy w sanie i wprzegli do nich ogniste rumaki. Zdomniła ślicznie uprząż, a śnieg przószył z nieba. Ale wnet zapadł

wieczór i trzeba było szukać noclegu, zatrzymali się tedy i zakolatali do drzwi jakiegoś domu».

Allan przestał czytać... bo wzruszenie kało mu przelknąć ły.

Wyobraził sobie tych dwoje, rozkochanych w sobie, jak pukają cierpliwie do wrót nieznanym, zupełnie jak w bajce...  
A właśnie na drodze za oknami rozległ się lecutki, dźwięczny, melodyjny brzęk jan-czarów.

— Jak to pięknie — rzekł do siebie głośno — marzyć, że to ich pojazd przelatuje przed moim domem.

Jednocześnie zdziwił się, bo najwyraźniej w świecie, sanki zatrzymały się. Jakies glosy pomieszały się za spadającą śnieżycą. A potem kroki. Zmierzały ku jego drzwiom.

Wstrzymał oddech i poczuł, że kropole potu występują mu na czoło.

Pukanie.  
— Kto tam?  
— Podróźni o gościnę proszą — brzmiała odpowiedź.  
— Wejdzcie.  
Drzwi otwarły się i ukazał się w nich barczysty mężczyzna, odziany w zaśniewone futro... Miał gorejące oczy...  
A oby uśmiechnął się doń i zwracając się do malej istotki, postępującej za nim, rzekł:  
— Nellith, spiesz się, bo wpuszcimy mroź do izby gościnnemu gospodarzowi...  
Allan wrósł w ziemię i zaniemógł zupełnie.

(Dokończenie nastąpi).

„QUI PRO QUO“

Gościnne występy w sali „Bagateli“ w Krakowie.

Wartoby rozpatrzyć wreszcie krytyczne przyczyny, dla których wartościowe, nasze elementy eksperymentatorskie w dziedzinie sztuki są przez nas samych niedoceniane lub nawet zupełnie nierozumiane.

Największą sztuką w krytyce, która istotnie pragnie spełnić swoje wysokie (nie wstydzimy się!) powołanie, jest umiejętność podnoszenia stron dodatnich tak, by wykazać wysiłek artystyczny w jego spełnieniu najwyższym, a nie w jego niedociągnięciu, które musi być i jest wszędzie.

Toteż nie dziwi się wcale, że fenomenalny konferencier „Qui pro Quo“, p. Fryderyk Jąrosy, ośmieszył na długie lata krytyczną postać Jalu Kurka, powodowany szustrem obrzydzeniem na jego zupełnie nieumotywowane i — co najgorsze! — nieuczciwe recenzje z występów „Qui pro Quo“.

P. Jąrosy, w swojej, skrzącej się świetniami bukietami humoru konferansjerze, słusznie zupełnie wytknął Jalu Kurkowi jego subiektywizm (graniczący z obłędem) i jego fałszowane metody krytyczne, polegające na wykazywaniu tylko złych stron obiektu, wziętego na kowadło krytyki, podczas gdy starannie ukrywa się obiektu tego strony dodatnie.

Programy „Qui pro Quo“ zestawiane zawsze były umiejętnie i polegały na kontrastach, działających najsilniej (najlepszy przykład: „Belweder“ w trzeciej rewii). Na te wspaniałe pomysły i wykonanych dekoracji A. Galewskiego, przesuwali się sceny od komicznych do głęboko tragicznych, od wesołych i bezprezjencyjnych artystycznie do posiadających wielkie walory sztuki.

Obok p. Jąrosy'ego, który czarował publiczność swoim talentem jako konferencier, i od twórcza, świetnie wystąpiła p. H. Ordonówna, która z lubością w talencie swym otwarcą zarówno wybujałe komiczne fragmenty, jak i sceny przesiąknięte tragizmem. Spotkałmy w „Qui pro Quo“ naszych dawnych znajomych z Krakowa: pp. Buczyńska, z której wielkim talentem scenicznym i recytatorskim mieliśmy możność poznać się wielokrotnie na scenie teatru im. Słowackiego i na wielu wieczorach poetyckich, Ciesielskiego, Wojnar, Minowicza. Bardzo dobrym był p. Dymasz. P. M. Wawrzyszewski udowodnił raz jeszcze, dlaczego jest „ulubieńcem publiczności“.

Jeśli kogoś raża, ładne zresztą, gole nogi artystek, niechże pamięta o tem, że teatr „Qui pro Quo“ nie powstał w celu wygłoszenia paru kazań sejmowych. Nie jest on głosem narodu wołającym na puszczy, żeby przypadkiem ktoś nie pokazał komuś czegoś jawnie (po cichu można). Trzeba brać rzeczy tak, jak są. Okazało się, że to nawet jest dla niektórych bardzo trudne.

Z NOWYCH KSIĄŻEK

Władysław Orkan: »Opowieść o planetniku«. Wybór nowel. Poznań (1926). Księgarnia św. Wojciecha. Str. 112. Zebrane w tym tomiku nowele Orkana są zbyt oddawna znane i uznane, aby trzeba było szeroko się o nich rozpisywać.

„DLA WSZYSTKICH“

Zasłużona księgarnia wydawnicza św. Wojciecha w Poznaniu od dłuższego czasu wydaje popularną edycję książeczek »Dla wszystkich«. Staranny wybór utworów nadaje tej biblioteczce ogromne znaczenie. Wskutek taniości tych książeczek i ich miłego wyglądu zewnętrznego, dostają się wydawnictwa te w ręce »szerokiego ogółu«, przez co spełniają ważną rolę popularyzacji literatury pięknej.

WESOŁE LECZ SMUTNE. KAMIEŃ ŻÓLCIOWE

Janina Maszewska-Knappe: Księżycowe kamienie. Warszawa. 1926. Str. 75. »Z nad łąk, pod lasem, opary się wznoszą mgliste, rozwiewne... i chóry zabie szalone, namiętne — tętniący żew życia wszechmocny, potężny« (str. 9.). Jest to apoteoza żab.

»Och, znając się dobrze ten młody, rosły koń i ta jego pani młodzianka, do jego szyi pieszczotliwie przytulona. Jedna je wieś ojcowiska wykołysała, wspólne słońce złoćilo, wspólne na łąkach rosy kapaly« (str. 14). Jest to pobudzenie fantazji czytelnika w kierunku zdrożnym: wspólna kąpiel młodego konia i młodzianki dziewczycy w rosie.

»Porywa dziecko splakane i tuli do serca. Ty jedyne, maleńkie, ty święte!... Już nie sama, Boże, przebac, już nie sama — jest dziecko!... Ma puklerz, ma dźwięgwie, ma cel mocny... Boże, przebac...« (str. 15). Jest to prośba do Boga, żeby przebaczył. Rola dziecka u kobiet piszących domaga się wnikliwego i szerokiego opracowania krytycznego. Dotychczas jest to jeszcze kwestia otwarta.

»— Jakis ty wielki, Boże — jakis ty wielki, żeś w pierś kobiecą tchnął serce — Matki!« (str. 16). Jest to niezbity dowód na wszechmocną potęgę Boga, który potrafi tchnąć nawet serce w pierś kobiecą. Jaka naukowy dowód dla ateistów, zwrot ten odznacza się brakiem ścisłości naukowej, autorka nie zaznacza bowiem, o której pierśi mówi, lewej, czy prawej.

»Na strzępach żągla białego pisywał krwią z swego palca o dniach szalonej tęsknoty...« (str. 19). Jest to zastosowanie palca, jako wiecznego pióra (made in Poland, popierajcie przemysł krajowy).

»Naprowadziłem rozmowę na wykołonego pana« (str. 21). Jest to pierwszorzędny sposób skierowania wykołonych panów na właściwy tor. »Coś się we mnie ku niej porwało — i coś jednocześnie było drętwe« (str. 21). Jest to opis stanu, zdarzającego się często.

»Ubiegałem się o jej względy, o jej serce, najpierw naprękor sobie i jej, a potem... z zacięłością samoudręczenia. Ale w niej — pękło« (str. 22). Piszący to objaśnienia nie wie, niestety, co w niej pękło, bo nie jest kobietą.

»Myśl o tobie przenika mnie całego, wygrza ranę i pustkę« (str. 23). Jest to oświetlenie myśli fachowe i naukowe. Okazuje się, że myśl jest niebezpiecznym gryzoniem, który potrafi wygryźć nawet pustkę.

»Niema jednej myśli, jednego wspomnienia, co by nie bicowało, a ja nie mam w sobie hamulców, nie mam sił się bronieć« (str. 23). Tu okazuje się, dlaczego tylu męczenników św. rżka. zostało ubiczowanych. Nie mieli poprostu hamulców.

»...Padam na łóżko i tłuę głową o poduszki — do rana« (str. 24). Jest to drastyczny przykład nędry literatek w Polsce. Mają poduszki z kamienia. Tłuczenie o nie głową do rana, po upadku na łóżku, tłumaczy doskonale, dlaczego utwory kobiece posiadają tyle wartości.

»Pozuje na cienieki wianzania swego wierzchowca, na nudę życia« (str. 25). Po przeczytaniu powyższego wiemy już, dlaczego kobiety wyglądają czasem jak cienieki wianzania wierzchowca, a bardzo często jak nuda życia.

»... Coś się głęboko, głęboko targnie u koniuszka serca« (str. 29). Autorka nie objaśnia bliżej, gdzie znajduje się koniuszek serca. Piszący niniejszy komentarz, też nie wie. Zapytaliśmy wielu lekarzy-specjalistów, lecz żaden z nich nie o koniuszczku nie wiedział.

»Miałem kiedyś psa — ceter-gordon był i King się nazywał. Królewski miał łeb« (str. 35). Autorka porównywała łeb psa do królewskiego z łbów królewskich, niewiadomo tylko, do którego.

»... Gdzie stada sioni, bawołów i tygrysów mkną za swem pożywieniem swobodnie i wolne —« (str. 56). Ważne dla uczonych! Nowa rasa sioni, wyjątkowo lekkich, które potrafią mknąć.

Cytaty wybrał i komentarzami opatrzył W. Z.

Z PISMIENICTWA NIEMIECKIEGO

Publikacje dra Aleksandra Kocha w Darmstadtzie. Od 30 lat propaguje dr Al. Koch w wykwiutnych wydawnictwach swoich kult piękna. Czerwocwy zeszyt »Die Kunst u. Dekoration« daje przegląd sztuki szwajcarskiej, zgrupowanej w zuryjskim »Kunsthausie« — pisze o modernistach niemieckich, Juliuszu Hütherze i H. v. Hüglu, oraz o antycznych rzeźbach świątyni Zeusa w Olimpii, w związku z prowadzonymi w Atenach pracami archeologicznymi R. Hamanna i E. Buschora.

»Die Literarische Welt« (Berlin), Nr 24-25. Jak zwykle, treść obfita i różnorodna. Interesujący jest wywiad z Tomaszem Mannem, który twierdzi, że istotą literackiego tworzenia w przyszłości będzie pierwiastek religijny; czas estetyzowania — zdaniem jego — minął. Z okazji 50-lecia śmierci George Sand pisze o niej France Clement i cytuje trzy jej listy do weńskiego lekarza Pagello. Ilja Ehrenburg broni nowoczesnego romantyzmu, który jest »potrzebą prawdziwego nowego życia«. Mnóstwo artykułów: o chrystjanizmie Shaw'a, o rewelacyjnej pracy Fr. Harrisa i lorda Douglasa: »New Preface to »The Life and Confession of Oscar Wilde«. Nr 26 poświęcony jest w całości ankiecie o prasie codziennej. O jej organizacji dziś i przed laty, o jej zdziwieniu, reporterce, o dyktaturze a prasie piszą jej czołowi przedstawiciele. Sympatycznym w »Lit. Welt« jest zupełny brak szowinizmu. Drukuje nawet francuskie wiersze i artykuły w oryginalnie.

W Nrze 27 pisze Stefan Zweig o kosmopolityzmie i internacjonalizmie, opowiadając się za tym ostatnim, jako niezmiernym pierwiastkiem ducha, przy czym proponuje członkom wszystkich międzynarodowych zrzeseń, by ślubowali, iż nigdy przeciw obcy ludom i narodowościom nie będą szczyli i nie będą ich ośmieszali, zaś za winy ich przynowców nie będą ich potępiali. Dr Oskar Schürer pisze o Wystawie Sztuk Pl. w Dreźnie. Sztuki polskiej autor niezna. Pisze o niej: »Polska dojrzewa tylko w Paryżu; kapitałny Kisling, zmarły Zak«. Numer zawiera dalej jubileuszowy artykuł o Becher Stowe i Bakuninie. Z tego i poprzednich numerów »Lit. Welt« tchnie szczerze budząca się chęć międzynarodowego zbliżenia.

KRONIKA

— Ś. p. Józef Klemensiewicz. W ubiegłym miesiącu zmarł w Krakowie Józef Klemensiewicz, cichy, nieudziwiający się w prasie poeta, autor najlepszych przekładów sonetów Heredy, bardzo dobrych tłumaczeń wielu innych poetów francuskich, oraz »Teatru« E. Zoli. Śmierć przetrwała prawicowe, choć płynące zupełnie bez rozgłosu, życie twórcze poety. Wydaniami przekładów zmarłego i jego utworów oryginalnych zajmie się rodzina. Z teki pośmiertnej zmarłego twórcy wyjmujemy parę przekładów, które zamieszczamy w niniejszym numerze.

— Portrety rysunkowe Marji Pawlikowskiej i Magdaleny Samozwaniec, zamieszczone przy wywiadzie Witolda Zechentera, zawiązujemy uprzejmości prof. Leona Chwistka, które ma za nie składamy serdeczne podziękowania. Wywiad Witolda Zechentera z prof. Chwistkiem, zamieszczony w poprzednim numerze naszego pisma, wywołał wielkie zainteresowanie i był cytowany we wielu pismach. W najbliższym czasie zamieścimy obszerną recenzję z jego książki »Wielość rzeczywistości« z okazji ukazania się jej po francusku (»Pluralité des réalités«).

— Józef Wittlin wygłosił dnia 18 czerwca w auli uniwersytetu w Padwie odczyt po włosku p. t.: »La moderna poesia polacca«. W odczyt tym poświęcił także kilkanaście zdań »Gazecie Literackiej«. Odczyt spotkał się z wielkim zainteresowaniem i ukaże się wkrótce w feljtonie jednego z pism włoskich.

— W Poznaniu otwarto interesującą wystawę państwową Szkoły zdobniczej.

— Stanisław Marja Saliński otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie nowelistycznym »Naokoło świata«. Tytuł nagrodzonej noweli brzmi »Miłość kapitana Paara«.

— Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy w Warszawie wybrało zarząd na rok bieżący w osobach pp.: Leopolda Staffa (prezes — ponownie), Konrada Olchowicza (wiceprezes — ponownie), Wacława Grubińskiego (wiceprezes), Józefa Sliwskiego (skarbnik — ponownie), Stanisława Paszkowskiego (sekretarz — ponownie), Stanisława Olchowicza (zastępca skarbnika) i Ferdynanda Goetla (zastępca sekretarza — ponownie). Poza tem weszli do zarządu: pp. Julian Ejsmond, Karol Irzykowski, Lucyna Kotarbińska, Władysław Kryszewski, Stanisław Milaszkowski, Bronisława Neufeldowa, Władysław Zawistowski i Anna Słoczyńska.

— Jarosław Iwaszkiewicz ogłosił w »Echu Warszawskim« cykl feljtonów pod tytułem: »Sztuka poezji«, w których rozpatruje aktualne zagadnienia poezji.

— Miesiąc już obywa się Warszawa bez kin. Magistrat nie ustąpił, kina też. Co to będzie! co to będzie!

— Wojciech Brydziński bawi obecnie w Poznaniu na występach gościnnych w Teatrze Polskim.

— Witold Hulewicz wydał interesującą książkę pod tytułem: »Polski Faust«. Jest to ocena przekładu »Fausta« przez Zegadłowicza w porównaniu do przekładów Wachholza i Kościelskiego. Z książki tej zamieścimy recenzję w najbliższym numerze naszego pisma.

— »Reduta« występuje obecnie we Lwowie. Wystawia m. i. na wolnym powietrzu »Księcia Niezłomnego«.

— Zdzisław Dębicki umieścił w »Kurjerze Warszawskim« wnikliwy i sumienny artykuł o »Rewizji na Parnasie« Jarosława Janowskiego, o której zamieścimy recenzję w następnym numerze »Gazety Literackiej«.

— Polska zagranicą. Nakładem Societé générale d'imprimerie ukazało się bardzo obszerne (360 str. dużej 6emki) dzieło filozofa Francis Warrain'a p. t.: »L'Armature métaphysique d'après la Loi de Creation de Hoene-Wronski«. Praca ta jest poświęcona pamięci wielkiego naszego myśliciela.

Równocześnie dowiadujemy się, że grono matematyków francuskich umysłilo wydać w prenumeracie międzynarodowej ważniejsze dzieła matematyczne Wronskiego; cena tomu ma wynosić aż 500 fr. — Może te fakty wpłyną wreszcie na przyspieszenie prac naszej Akademii Umiejętności, która posiadając wszystkie drukowane i niedrukowane pisma tego filozofa, nie wydała dotąd ani jednego tomu.

— »Dodatek Literacki« »Polonii« pod wytrawną redakcją Jana Smotryckiego rozwija się coraz lepiej. Ostatnio wyszedł poświęcony Emilowi Zegadłowiczowi. Wśród wielu artykułów o twórczości autora »Lampki oliwnej« pierwsze miejsce zajęło świetne studjum Rajmunda Bergela o dorobku scenicznym Zegadłowicza.

— »Powrót z wojny«, sztuka Jana Wiktora Opolskiego — odznaczona na konkursie im. Gabrieli Zapolskiej, weszła na afisz teatru Wielkiego we Lwowie. Grają: pp. Hańska, Rybicka, Michulowicz i Sosnowski.

— Czesław Jankowski, święcić będzie w lipcu b. r. jubileusz swej 50-letniej pracy.

— Pomnik Juliusza Słowackiego. Komitet obywatelski budowy pomnika ogłosił dnia 20 maja konkurs na projekt pomnika. W konkursie uczestniczyć mogą tylko Polacy. Pomnik powinien być monumentalny, koszt jednak nie może przekroczyć 100 tys. zł. Projekt ma być w modelu gipsowym w skali 1:10. Termin upływa 30 sierpnia 1926 o g. 3 po poł. Nagrody 3000, 1500 i 1000 zł. Adres dr W. Hahn — Lwów — Dwernickiego 9.

— Tomasz Mann pisze obecnie pamiętnik swoich wrażeń i przeżyć paryskich pod tytułem »Pariser Tagebuch«.

— Na tematy ogólno-życiowe przeszedł Henryk Barbusse w swej najnowszej książce, za woiściom nie będą szczyli i nie będą ich ośmieszali, zaś za winy ich przynowców nie będą ich potępiali. Dr Oskar Schürer pisze o Wystawie Sztuk Pl. w Dreźnie. Sztuki polskiej autor niezna. Pisze o niej: »Polska dojrzewa tylko w Paryżu; kapitałny Kisling, zmarły Zak«. Numer zawiera dalej jubileuszowy artykuł o Becher Stowe i Bakuninie. Z tego i poprzednich numerów »Lit. Welt« tchnie szczerze budząca się chęć międzynarodowego zbliżenia.

wierającej trzy nowele: »Z tamtej strony«, »Prawda« i »Sila«.

— »Habima« po występach w Paryżu udaje się do Londynu, a następnie do Ameryki.

— Jan Kowalik-Iłstiansky napisał wielki, dwutomowy poemat pod tytułem: »Baśń Tatr«.

SZTUKI PLASTYCZNE

— Doroczna wystawa prac uczniów Wolnej szkoły malarstwa i rysunków w Krakowie. Celem tej szkoły, która istnieje od roku 1919, jest ogólne wykształcenie artystyczne, przygotowanie do wyższych uczelni. Wystawa prac uczniów szkoły, urządzona na zakończenie roku szkolnego, była przeglądem pracy. Dział malarstwa dał pion bardzo bogaty (akt, portret, martwa natura, pejzaż i kompozycja). Wyodrębliły się prace malarzkie pp. Władysławy Augustynowiczówny (znanej z wystawy »Jednoróg«) i Wandy Markiewiczówny. Dział rysunkowy, to podstawa studjum aktu. Uderza brak wszelkiego taniego efekciarstwa i dyktantyzmu. Rysunek, ów węgielny kamień prawdziwej sztuki, traktowany, jako problem pierwszorzędny. Wyodrębniono na konkursie prace pp. Wandy Markiewiczówny i Marty Sumowskiej. Prace te zwracają uwagę czystem odczuciem harmonii linearnej i dużym wdziękiem. Niewielki lokal Wolnej szkoły zgromadził tyle zapala i tyle wysiłku, że robi wrażenie dużej instytucji. Kierownikiem kursu był prof. Jerzy Fedkiewicz.

— Tsougharu Fonta, młody malarz, Japończyk, który studiował w Paryżu, urządził wystawę swych dzieł w Salonie Gurlitta w Berlinie. Wpływy Ingres, Maneta, Benoina nie zabily w nim odrębności rasowej i kulturalnej. Eteryzna subtelność i nieuchwytność postaci, a nadaje obrazom jego ów czar egzotyki, którym tchną dla nas dzieła Nipponu. Najcharakterystyczniejsze dłań i najbardziej indywidualne są akwaforty.

— XV Międzynarodowa Wystawa sztuki w Wenecji. Polska nie posiada tam swego pawilonu, tylko dwie sale, jedną najmuje prawie wyłącznie Towarzystwo »Sztuka«, drugą rzeźby i rysunki Glicensteina. Udział w tej wystawie wzięli: Aksenowicz, Filipkiewicz, Jarocki, Kamocki, Kędziński, Mehoffer (portret marszałka Piłsudskiego), Gausch, Pieńkowski, Gruszkowski, Sichulski, Słedziński, Skoczylas, Weiss. Nowością jest wystawa włoskich futurystów.

— Konkurs rzeźbiarski. Amerykańska firma Ullen et Comp. New-York—Warszawa, budująca halę targową w Piotrkowie, rozpiła konkurs na rzeźby dekoracyjne do wnętrza. Pierwszą nagrodę wziął prof. J. Raszka (Kraków), 2-gą — M. Lubelski (Poznań).

— Krajobraz włoski w malarstwie polskim. Z inicjatywy Towarzystwa »Dante Alighieri« urządzono w Towarzystwie sztuk pięknych (Kraków) wystawę krajobrazu i architektury włoskiej. Wystawa urządzona doręczywo, niekompletna. Wystawiono prace: Chelmońskiego, Estreicherza, Kowalskiego, Kamockiego, Karpińskiego, Mehoffera, Pankiewicza, Siemiradzkiego, Rychter-Jaworskiej, Stanisławskiego i innych.

TROJGA IMION GRAFOMAN

Zabawny przypadek zdarzył się (zapewne w popiechu!) kronikarzowi »Wiadomości Literackich«, który przepisywał z »Głosu Narodu« protest grupy literatów krakowskich przeciw zamknięciu teatru im. Bogusławskiego w Warszawie. Ostatnie dwa nazwiska literatów (był to straszny pękmele, ten dziwnie niezgrany protest, do kompletu brakowało tylko podpisu Pusłowskiego!), podpisanych pod protestem brzmiały: »Jan Wiktor, Antoni Waśkowski«. W kronice »Wiadomości Literackich« jednak czytamy: »J. W. A. Waśkowski... A więc tak, jak E. T. A. Hoffmann! Z imienia i nazwiska autora »Oporny« »Burka«, »Legend o grajułku bożym« i t. d. uczynił kronikarz »Wiadomości Literackich« pierwsze dwa imiona słynnego grafomana liryczno-bohaterkiego, Antoniego Waśkowskiego. Tylko jak się to stało, że nie dostrzegł przecinka, dzielącego dwa te podpisy? Czyżby sama nazwa Antoniego Waśkowskiego zaczęła wazwać przecinki?!

Przy sposobności wyrażamy zdziwienie, dlaczego redakcja »Wiadomości Literackich«, notując protesty przeciw zamknięciu najlepszego teatru polskiego nie zacytowała protestu... »Gazety Lit.« i »Litartu«, zamieszczonego w Nrze 9—10.

„DROGA“ Miesięcznik, poświęcony Sprawie Życia Polskiego, chce być organem pracy umysłowej dla budowania Nowej Polski. Zamieszcza artykuły z dziedziny ideologii narodowej, polityki, życia społecznego, zagadnień gospodarczych, oświatowo-kulturalnych, literackich, artystycznych — tak Polski, jak i zagranicy. Redaktor: Adam Skwarczyński. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5, telef. 175-34. Konto P. K. O. 518.

OSTATNIE GŁOSY PRASY O „GAZECIE LITERACKIEJ“

»Świat« warszawski w Nrze z dnia 19-go czerwca 1926 pisze m. i.:

...znaleźli się w Krakowie odważni i przedsięwzięcy ludzie, którzy, nie zważając na kryzys wydawniczy i czytelniczy, puścili w ruch dwutygodnik „Gazeta Literacka“... Czasopismo to nie uprawia na szeroką skalę, na szczęście, podejrzanej wartości krytyki, lecz stara się formułować pozytywnie swoje ideały. Jest to droga żmudniejsza, ale prowadzi do celu i budzi poważne nadzieje, że z tej falangi młodych literatów wyjdą pisarze uczciwie pracujący dla kultury narodowej...

»Wiadomości Literackie« w Nrze z dnia 27-go czerwca 1926 zaznaczają, że

»Gazeta Literacka« w dalszym ciągu zaszczytnie podtrzymuje honor tradycji kulturalnych Krakowa.

Na zupełnym niezrozumieniu i nieporozumieniu jest oparta ostra krytyka »Nieznanego fragmentu »Nieboskiej Komedji« (Nr 9—10 »Gaz. Lit.«), którą »Wiadomości Literackie« nazywają »bardzo głupią, bardzo niesmaczną i bardzo niedowcipną« — dlaczego?

»Zwrotnica« w Nrze 9-tym przynosi artykuł Tadeusza Peipera pod tyt. »Gazeta Literacka«. »Uniwersalizm«, oparty również na zupełnym niezrozumieniu, w tym wypadku naszego artykułu wstępnego »Wszyscy dla wszystkich«. Jeśli na początek artykułu kładzie się cytaty z Millera, nie znaczy to jeszcze, że temat »określa się cudziemi myślami«. Interesujące wywody redaktora »Zwrotnicy« na temat uniwersalizmu w niczem nie posuwają sprawy naprzód. Zabawne jest »szlachetne« stanowisko Peipera wobec Millera, który niedawno ostro (i nieciekawie słusznie) skrytykował »Nowe usta« (w »Wiad. Lit.«).

»Prawda« w Nrze z dnia 27 ub. m. przynosi feljton J. Stycza »Wielka przemiana«, w którym autorka rozpatruje przemiany, jakie wywołała wojna w ideologiach artystycznych i literackich. Czytamy tam:

...szczególną uwagę należy poświęcić skromnemu zewnętrznie dwutygodnikowi krakowskiemu »Gazeta Literacka«, który konsekwentnie rozwiązuje kwestję upadku i konieczności odrodzenia naszej literatury... Mimo niejaki programowości, »Gazeta Literacka«... nie utworzyła kapliczki, ale zakreśliwszy sobie szerszy horyzont, szuka bezustannie tej szerszej platformy, na której dzisiejsza literatura spotkać się może z dążeniami i pragnieniami współczesnego Polaka.

»Gazeta Literacka« podjęła się jakgdyby — rehabilitacji literatury... Przez ruszowanie jej programów widnieje już żrąb jej budowli, fronton gmachu współczesnej literatury... Można by powiedzieć, że »Gazeta Literacka« rozpoczęła pracę nad odrodzeniem moralnym naszej współczesnej literatury. Jest to zadanie nielatte, ale wysochalne... Jeszcze chwila, a »falanga młodych« wmaszeruje rytmem wielkiej przemiany».

Autorka cytując poatem wiele fragmentów z kilku ostatnich naszych artykułów wstępnych.

Wobec licznych pomyłek, identyfikujących osoby dwu poetów, Jerzego Brauna i Mieczysława Brauna, zaznaczamy, że Jerzy Braun, autor »Oceanjady« i »Dywanu królewskiego«, redaktor »Gazety Literackiej«, jest członkiem krakowskiego »Litartu«, a Mieczysław Braun, autor »Rzemiosł«, jest członkiem warszawskiego »Skamandra« — i że nie łączą ich żadne związki pokrewieństwa.

KSIAŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE

A. Dukić — Iz Dnevníka Jednog Magarca — Zagreb. Nakł. Jugoslovenske Stampe. »Wiedza i życie« Nr 5 przynosi art. prof. J. Dembowskiego o zagadnieniu transplantacji u hydru słodkowodnej, dra K. Jantzena o nieskończoności wszechświata, kpt. M. Zaruskiego przyczynki do wyjaśnienia śmierci Andrzeja, prof. M. Gumplowicza o historii rozwoju gospodarstwa światowego i i. »Droga« Nr 6—7: »Odzyskana Hramota« — Adama Skwarczyńskiego, »Nakaz czynu majowego« — J. Husarski, »Ile może być naprawdę Białorusinów w Polsce« — L. Wasilewski, »Dusza chłopska« — A. Patkowski, »Wtyczne polskiej polityki wychodźczej« — W. Sztukiewicz i w. i. artykuły.

»Lwowskie Wiadomości Literackie i Literackie«

Nr 9 zawiera: Anna Ludwika Czerny: Władysław Mickiewicz. — Dr H. Feicht: Z muzyki religijnej. — Witold Zechenter: Zaczarowane koło (wiersz). — A. Wyleżyńska: Z najnowszej literatury francuskiej i i.

JEŚLI CHCESZ co tydzień mieć bezstronne a wyczerpujące informacje o najważniejszych aktualnych wydarzeniach politycznych, gospodarczych, społecznych. czytaj PRAWDE niezależny tygodnik jedyny w Polsce bezpartyjny organ informacyjny -- dla inteligencji -- Dziś jeszcze żądaj numeru okazowego. REDAKCJA: ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 85. ODDZIAŁY: Warszawa — Wilcza 16. Poznań — Skarbowska 7.